

– Paukszta pisze o nim jako o delegacie królewskim w drodze z Dreżna do Warszawy.

– Pan Pokrzywnicki pochwalił mnie za ten konterfekt. Powiedział, że kanclerz wielki koronny i biskup krakowski Andrzej Stanisław Kostka Załuski mógłby kazać mnie uczyć. Dał mi papier i grafit. Narysuj coś, chłopcze, abym miał czym rekomendować cię jego ekscelencji księdzu biskupowi. Nie pamiętam co, chyba czarujący landszafek z ratuszem w tle wypacykowałem.

– Paukszta pisze, że gdy Pokrzywnicki wrócił z Warszawy do swego domu w Krakowie, Pan „obdarty, znędzniały, wychudły” na niego czekał. Pokrzywnicki spytał: „Ojciec cię jednak puścił?”.

– Klepie jak baba trzy po trzy.

– Klepie? A jak się Pan dostał do Krakowa?

– Grünberg był niewielkim miasteczkiem winoogrodników i sukienników, ojciec więc z grania nie był w stanie utrzymać rodziny. Ktoś mu poradził, aby poszukał szczęścia gdzie indziej, na przykład w Krakowie, gdzie o zajęcie dla muzyka łatwiej i gdzie przybysze ze Śląska są cenieni za pracowitość. Rodzina moja zamieszkała na krakowskim Kleparzu. Ja, średni wśród rodzeństwa, zostałem oddany na dwór biskupa Załuskiego. Za strawę i przyodziewek pomagałem przy zmywaniu statków, zrywałem jabłka w ogrodzie, przynosiłem warzywa do kuchni, rąbałem drwa, a i byłem chłopakiem na posyłki. W wolnym czasie zaszywałem się w kącie i pacykowałem po papierze, którego tam było pod dostatkiem. Kiedyś wyryłem szpikulcem obrazki na miedzianych garnkach. Kucharz, jak to zobaczył, obił mnie i kazał iść precz. Komuś jednak spodobało się moje rysowanie, nigdy nie dowiedziałem się komu i kto, doniósł o tym księdzu biskupowi. Gdybym wiedział kto, byłbym mu dozgonnie wdzięczny. Jak ja się cieszyłem...

– Pan się cieszył z powodu obicia i wyrzucenia z dworu?

– A cieszyłem się, cieszyłem, bo, jak powiadają w Krakowie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jego ekscelencja ksiądz biskup Załuski kazał uczyć mnie malarstwa. Jak się nauczysz, chłopcze,

odpłacisz mi się pięknym za nadobne, powiedział. Identycznie mówił do wielu takich jak ja, wysyłając ich na studia nawet za granicę.

– Za przykładem królów Augusta II i Augusta III polscy możni otaczali się artystami.

– Nic w tym złego... Pewnie pan wie, że biskup Załuski przekonał brata Józefa Jędrzeja, biskupa kijowskiego, aby przenieśli rękopisy i księgi ze swoich książnic pod jeden dach w Warszawie, tworząc zręby znanej Biblioteki Załuskich. On ci sprowadzał z zagranicy instrumenty i eksponaty, aby w kraju nad Wisłą rozwijały się nauki przyrodnicze, medycyna, wydawnictwa.

– Miał Pan to szczęście, że urodził się wtedy, gdy otoczenie królewskie wspierało sztukę.

– Z biskupiej kuchni życie zaprowadziło mnie do jednej z wielu pracowni malarskich. Krótco tam byłem, to i niewiele się nauczyłem, ale dowiedziałem się, że Paryż jest kulturową stolicą świata. Że magnacka, dworska i artystyczna Europa od Rzymu przez Monachium, Berlin, Petersburg jest francuskojęzyczna. Że Rzym wyrósł na wybitny ośrodek artystyczny, szczególnie malarski. Że są tam sławne na cały kontynent Akademia Francuska i Akademia Świętego Łukasza. Studiować w jednej z tych szkół... To było największe marzenie każdego chłopaka z warsztatu naszego mistrza.

– Wysoko Pan mierzył.

– W Krakowie nauczyłbym się malowania portretów szlacheckich ozdabianych herbami. Byłbym jeszcze jednym malarzem cechowym. Miałbym dach nad głową, na chleb z omastą, na przyodziewek... Ale czy takie malarstwo uzyskałoby rozgłos? Czy ktokolwiek w Rzymie, Paryżu, Madrycie, Londynie słyszałby o malarzu Tadeuszu Kuntzem? Jedyna droga do panteonu sławy prowadziła przez Rzym.

– Identycznie myślał biskup Załuski. Ten duchowny zdawał sobie sprawę z tego, że Rzym ze swoimi uniwersytetami i oficynami wydawniczymi promieniuje na całą chrześcijańską Europę.

– Wezwawszy mnie do swego pałacu w 1747 roku, jego ekscelencja odezwał się tymi słowami: Pojedziesz, chłopcze, do Rzymu. Na mój

koszt będziesz się uczył malarstwa u najlepszych mistrzów. Padłem do nóg księdza biskupa, gotów czubki jego butów całować. Wdzięczność okażesz mi po studiach. Wstań i idź szykować się do drogi. Opiekunem twoim w czasie podróży do Wiecznego Miasta będzie nuncjusz papieski w Polsce, arcybiskup Alberico Archinto. Jak wróciłem do domu na Kleparzu, matula ręce załamała. Jak ty, czternastoletnie pacholę, poradzisz sobie w dalekim i obcym mieście? Ichniej mowy nie znasz?

– Wbrew obawom matki poradził Pan sobie nieźle.

– W końca sierpnia 1747 roku dotarłem do Rzymu. W hospicjum kościoła S. Stanislao dei Polacci przy via Botteghe Oscure oczekiwał mnie rektor, ksiądz Andrzej Młodziejewski. Jemu biskup Załuski dał pieniądze na opłacenie moich studiów, stancji, wyżywienia i na przybory malarskie. Polecił też, abym co roku miał nowe ubranie i dostawał pensję na konieczne zachcianki. Po roku poznawania Wiecznego Miasta rozpocząłem studia w Akademii Francuskiej pod kierunkiem Jeana Francioisa de Troya. Od mistrza nauczyłem się wielu umiejętności i kruczków przydatnych w malarstwie, ale najbardziej cieszyłem się z poznania sztuki projektowania gobelinów. Dzięki pomocy Charlesa Josepha Natoire'a opanowałem technikę tempery. Inni mistrzowie pokazali mi, jak malować pejzaże, jak ruiny...

– Czy studia w Akademii Francuskiej były wystarczające?

– Sądziłem, że przez cztery lata wiele się nauczyłem, gdy ksiądz Młodziejewski oznajmił, że zamieszkam w domu Francisca Bergary, a ten będzie mnie dalej uczył, co było życzeniem biskupa Załuskiego. Mój nowy nauczyciel miał uroczą córkę, która, kiedym po latach wrócił do Rzymu, została moją żoną i matką moich dzieci. Na korepetytora ksiądz Młodziejewski wybrał mi Lodovica Mazzantiego, członka Akademii Świętego Łukasza. Powiadano, że nie jest to wybitny artysta, za to przedni opiekun. Nauczył mnie malować na mokrym tynku, gdym pomagał mu przy zdobieniu ścian w Cittia di Castello. Onże podpowiedział księdzu Młodziejewskiemu, a ten biskupowi Załuskiemu, abym doskonalił swoje umiejętności na kursach w Scula del Nudo.

– Obiło mi się o uszy, że krótko kształcił się Pan również w Paryżu?

– Paryż ze względu na swoje znaczenie w kulturze europejskiej interesował mnie od dawna. W mieście nad Sekwaną moim mistrzem był portrecista Maurice Quentin de La Tour, jak nikt inny potrafiący oddać ruch powietrza i refleksy światła. Wirtuozerii w malowaniu materii i przekazywaniu psychiki portretowanej postaci uczył mnie Aleksander Roslin. Jean Restaut zdradził mi swoje tajemnice malarstwa historycznego, a Etienne Jaurat pokazał, co robić, aby w kompozycjach rodzajowych niepoślednią rolę odgrywały wątki humorystyczne.

– Historycy sztuki podają, że w czasie, kiedy Pan przebywał w Rzymie, grupa artystów z Akademii Świętego Łukasza pod przewodnictwem Marco Benefiala rozpoczęła walkę z barokową konwencją. Ich celem była sztuka, którą historia nazwała neoklasycyzmem.

– Bogu jestem wdzięczny za to, że powołał mnie na świat, na styku trzech epok w sztuce: baroku, rokoka i klasycyzmu. Podczas studenckiego pobytu w Rzymie spod mojego pędzla wyszło wiele płócien, z dwu jestem szczególnie dumny, mam na myśli *Fortunę* i *Sztukę*, oba o tematyce alegorystycznej. Zmiennej i ślepej fortune przeciwstawiłem stałość sztuki. W rzymskim czasie namalowałem trochę obrazów religijnych, pierwszym był *Święty Stanisław wskrzeszający Piotrowina* dla kościoła polskiego. Na prośbę mego patrona księdza biskupa Załuskiego wykonałem kilka płócien dla katedry wawelskiej, o ile dobrze pamiętam wtedy powstało *Męczeństwo Świętego Wojciecha*, *Święty Jacek*, *Święty Wacław*, *Święty Józef*, *Święty Kajetan* i *Święty Mikołaj*.

– W 1759 roku wrócił Pan do Krakowa.

– Wróciłem z nadzieją, że wiedząc, co jest nowe w sztuce, będę malował na zlecenia możliwych. I tak było na początku, kiedy trochę w ramach wdzięczności, trochę z ciekawości, jak zostaną potraktowani, tworzyłem malowidła dla krakowskich kościołów. Powiadano, że w moich płótnach z motywami religijnymi uwidaczniają się wpływy późnorzymskiego baroku. Tak chciałem. Namalowałem dwa portrety patrona biskupa Załuskiego, jeden przeznaczony do

klasztoru franciszkanów, drugi do klasztoru misjonarzy. I gdy mi się wydawało, że osiągnąłem to, czego pragnąłem, czyli zamówienia i rozgłos, mój protektor przeniósł się na łono Abrahama.

– Czy zdobytą w Rzymie wiedzę dzielił się Pan z innymi malarzami?

– Moja pracownia należała do najbardziej znanych i cenionych w Krakowie. Pomny wsparcia, jakiego mi udzielił ksiądz biskup Żałuski, kształciłem młodych adeptów sztuki malarskiej. Byli pośród nich tacy kandydaci na mistrzów pędzla jak Łukasz Orłowski, Michał i Walenty Janowscy, Karol Wochowski.

– A jak oceniało Pana środowisko krakowskich artystów?

– Ponieważ inaczej niż cechowi malarze podchodziłem do sztuki, nie byłem lubiany przez tradycyjnych pacykarzy. Może gdybym wstąpił do cechu malarskiego... Krakusi nie tolerowali takich, co chodzą własnymi ścieżkami i izolują się od środowiska. Biskup Żałuski nie żył, to i nie miał kto za mną się ująć.

– Wtedy nadeszło zaproszenie z dworu hiszpańskiego, czy tak?

– Nie mogłem z niego skorzystać, gdyż niebawem zmarł król Ferdynand VI. Zostałem zatem w Rzymie, żeniąc się z córką mojego gospodarza. Niedługo potem razem z żoną pojechałem do Madrytu, tam namalowałem kilka obrazów dla kościoła Świętej Barbary. W Walencji, gdzie znana była rodzina mego teścia, pracowałem dla książąt Medinacelich i rodu Dos Aquas. I pewnie osiadłbym na stałe w Walencji, gdyby nie nagła śmierć mojej żony.

– Wrócił więc Pan do Rzymu?

– Rzym był tym miejscem na ziemi, gdzie czułem się najlepiej i najpewniej, mimo braku protektorów. Gdzie było zapotrzebowanie na moje płótna i gdzie nikt nie wyrządził mi przykrości. A gdy przybyła do Wiecznego Miasta Anna z Sapiehów Jabłonowska i rozpuściła wieści, com we dwa roki stworzył w Krakowie, malowałem od rana do wieczora, przez wszystkie dni tygodnia, tylu możliwych chciało mieć moje płótna. Byli wśród nich tacy jak kardynał Yorku, biskup Frascati, rodzina Borghese, która zatrudniła mnie przy dekoracji

swego pałacu. Niebawem zaproszono mnie do odnowienia kaplicy S. Giuseppe w Panteonie, gdzie miała siedzibę młodsza siostra Akademii Świętego Łukasza.

– W aktach przechowywanych w archiwum arcybractwa Świętej Katarzyny występuje Pan jako Taddeo Polacco.

– Po 1770 roku zaczął się złoty okres w mojej twórczości. Zdarzało się, że nie przyjmowałem zamówień na wielkie płótna, ale nie odmawiałem sobie wykonywania małych rysunków i gwaszy z przeznaczeniem dla przyjezdnych do Rzymu. Ktoś mi mówił, że w 1788 roku widział album z setką moich akwafort przedstawiających sceny z życia papieskiego miasta. Nawet ostrzegano przyjezdnych przed niesumiennymi malarzykami, którzy podrabiali akwaforty i sprzedawali je jako wykonane moją ręką.

– Ile prawdy jest w tym, że Francisco Goya był Pana uczniem?

– Nie tylko uczniem, lecz i lokatorem. Niedługo, bo chyba przez rok ten najwybitniejszy malarz hiszpański złotego wieku przypatrywał się, co i jak maluję. Jego poglądy na sztukę różniły się od moich, ale i wiele było podobieństwa, jak chociażby wykorzystanie zdobyczy baroku, rokoka i klasycyzmu. To dobrze, że miał swoje zdanie, bo dzięki temu stał się prekursorem nowej funkcji sztuki w życiu ludzi.

– Będąc zasiedziałym rzymianinem, nie miał Pan ochoty odwiedzić Polski?

– W 1785 roku, kiedym zakończył renowację Villa Borghese, w *Giornale delle Belle Arti* ukazała się taka recenzja: „Pan Tadeusz Kuntze zasługuje na pochwałę, gdyż jego postacie poruszają się z żywością, dobrze są rozłożone w przestrzeni, narysowane z wdziękiem i namalowane dobrymi plamami, ponadto zastosował się on do stylu perspektywisty bez przesadnej dokładności i precyzji, która w tego rodzaju pracach daje wrażenie twardości”. Ta opinia musiała dotrzeć do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który za pośrednictwem Marcella Bacciarellego, swego malarza nadwornego, chciał mnie na powrót widzieć w Polsce. Swoje lata miałem, zdrowia już nie byłem najlepszego, to i nie czułem się na siłach do tak dalekiej podróży.

– W dzisiejszej Zielonej Górze jest Pan patronem ulicy. Ukazały się dwie książki na temat Pana życia i twórczości. Przed Muzeum Ziemi Lubuskiej jest tablica pamiątkowa, a w muzeum stała galeria prezentująca niektóre Pana dzieła, między innymi kopię *Fortuny*. Muzeum otrzymało w depozyt prace z kolekcji Fundacji Zbiorów im. Ciechanowieckich.

– Jestem wdzięczny zielonogórzanom za takie potraktowanie mnie i zwrócenie uwagi na to, co wyszło spod mojego pędzla. Wierzę, iż w mieście, gdzie się urodziłem, znajdzie się więcej kopii moich prac, a może sprawiedliwy Pan Bóg sprawi, że i oryginałów. Czyż jest lepsze miejsce do ich prezentowania niż Winny Gród?

– Oby tak się stało. Dziękuję za te słowa.

Sławni grünberczycy i zielonogórzanie

Urodzili się w mieście położonym na winnych wzgórzach:

Nicolai Fabri Viridimontanus Polonus (ur. 1447, zm. 1516) – teolog,
rektor uniwersytetu w Wittenberdze

Abraham Scultetus (ur. 1566, zm. 1625) – teolog

Wilhelm Julius Foerster (ur. 1832, zm. 1921) – astronom, rektor Uniwersytetu Berlińskiego

Otto Julius Biernbaum (ur. 1865, zm. 1910) – niemiecki poeta i krytyk

Stanisław Adamski (ur. 1875, zm. 1967) – śląski biskup katolicki

Fritz Foerster (ur. 1866, zm. 1931) – niemiecki chemik

Siegfried Pitschmann (ur. 1930, zm. 2002) – niemiecki pisarz

Heinz Bahrens (ur. 1932) – niemiecki aktor

Maryla Rodowicz (ur. 1945) – piosenkarka

Piotr Müldner-Nieckowski (ur. 1946) – lekarz, pisarz, językoznawca,
wydawca

Włodzimierz Kwaśniewicz (ur. 1947) – historyk, bronioznawca, pisarz

Ryszard Peryt (ur. 1947) – aktor, reżyser

Zbyszek Godlewski (1952-1970) – bohater *Ballady o Janku Wiśniewskim*

Piotr Protasiewicz (ur. 1975) – żużlowiec

Tomasz Lis (ur. 1966) – publicysta, dziennikarz

Krzysztof Włodarski (ur. 1977) – kompozytor, muzyk, grafik, reżyser

Łukasz Rostkowski (ur. 1981) – kompozytor, wokalista, autor tekstów



Józef Wybicki – zdjęcie ze strony www.pl.wikipedia.org.

Józef Rufin Wybicki

Urodził się 29 września 1747 w Będominie koło Kościerzyny, zmarł 10 marca 1822 r. w Manieczkach koło Śremu. W 1767 r. w Grudziądzu został wybrany na posła do sejmu, osiem lat później został podwojewódzkim poznańskim. Po ślubie z Esterą Wierusz-Kowalską kupił dobra w Manieczkach. W 1793 r. otrzymał awans na generała majora milicji pomorskiej. Cztery lata później wyjechał do Lombardii, gdzie napisał *Pieśń legionów polskich we Włoszech*. Był wojewodą Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Spod jego pióra wyszły sztuki m.in. *Zygmunt August*, *Kulig*, *Ojczyzna*. W 1807 r. został odznaczony Orderem Orła Białego i Legią Honorową.

PODCZASZANKA WSCHOWSKA Z HYMNU

Rozmowa z generałem Józefem Wybickim,
autorem *Pieśni legionów polskich we Włoszech*

– Gdy podczas uroczystości patriotycznych Polacy śpiewają hymn narodowy to nie więcej niż dwie pierwsze zwrotki. Wschowianie śpiewają cztery zwrotki.

– Dlaczego wschowianie, jak waćpan mówisz, śpiewają więcej?

– Sądziłem, że kto jak kto, ale Pan się domyśli dlaczego... Czwartą zwrotkę mieszkańcy Wschowy śpiewają ze względu na Basię, Panie Generale.

– „Już tam ojciec do swej Basi / mówi zapłakany / »słuchaj jeno, pono nasi / biją w tarabany«”?

– Tak.

– Jest tam błąd logiczny. To nie ojciec powinien być zapłakany, lecz jego Basia. Pisałem szybko, nikt nie skorygował pomyłki i tak zostało... O Basi i jej ojcu napisałem w zwrotce piątej. Czwarta ma takie słowa: „Niemiec, Moskał nie osiedzie, / gdy jąwszy pałasza, / hasłem wszystkich zgoda będzie / i ojczyzna nasza”. A zwrotek sześć było.

– W 1926 roku, kiedy do władzy w niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej doszli byli legioniści, uważający się za spadkobierców idei generała Jana Henryka Dąbrowskiego, *Pieśń*

legionów polskich we Włoszech stała się oficjalnym hymnem państwowym. Wtedy też troszkę ją unowocześniono i skrócono. – Jestem z tego bardzo dumny. Nie zawsze byłem przydatny mej ojczyźnie, ale, niech Wszechmogący zaświadczy, życia swego nie marnotrawiłem na hulankach i zbytkach.

– Owa Basia, o której śpiewają wschowanie, to postać fikcyjna czy rzeczywista?

– Basia to druga żona mego przyjaciela generała Dąbrowskiego. Gdy ją poznałem, nie była jeszcze czcigodną, dostojną generałową, panią Dąbrowską. A poznałem ją najpewniej w Śmiglu, w rezydencji Chłapowskich, miała może sześć lat, może mniej.

– Poznał ją Pan w Śmiglu, a nie we Wschowie?

– We Wschowie, królewskim mieście, poznałem inną damę, również czcigodną i dostojną, najbliższą memu sercu.

– Jeśli ma Pan na myśli Esterę Wierusz-Kowalską, rzeczywiście tak będzie. Na razie pytam o Basię.

– Rok po ślubie podczaszego wschowskiego Ksawerego Chłapowskiego herbu Dryja i Nepomuceny Chłapowskiej z Turwi na Boży świat przysła Basia. Musisz waszmość wiedzieć, że podczaszy to nie za wysoki urząd ziemski. Najwyższe urzędy w Rzeczypospolitej moich czasów sprawowali wojewoda i kasztelan. Po nich szły takie godności jak podkomorzy, starosta grodowy, chorąży, sędzia ziemski, stolnik i dopiero na szóstym miejscu podczaszy. Były urzędy niższe, jak podsędka, podstolego, cześnika, łowczego, wojskiego większego, pisarza ziemskiego i miecznika. Prócz honorów związanych z urzędem podczaszego wschowskiego pan Chłapowski miał niemały majątek po swoich świętej pamięci rodzicach w rodowym Niegolewie, Śmiglu i okolicy. Pani Nepomucena wniosła do małżeństwa posiadłości w Murowanej Goślinie i Łopuchowie. Na dodatek, a może przede wszystkim, pan Ksawery duszą i sercem był patriotą. Drogocenny swój czas dzielił między posłowanie do sejmu Rzeczypospolitej a rodzinę. Panna urodzona w takiej rodzinie od niemowlaka budziła zainteresowanie sąsiadów, których dobry Bóg obdarował synami.

– Czy wydarzyło się coś niezwykłego, że zapamiętał Pan Pa się aż tak, iż umieścił ją w *Pieśni legionów*?

– O tym, że w 1772 roku caryca Katarzyna zagarnęła Inflanty Polskie i peryferyjne ziemie na wschodzie Rzeczypospolitej nie muszę waszmości przypominać. Żeby tylko Rosja. A to i Austria uszczknęła kawałek południowej Polski ze Lwowem, bez Krakowa. Prusy anektowały Warmię i Pomorze Gdańskie bez Gdańska i Torunia. Mimo że dosłownie i w przenośni karłała do niedawna wielka Rzeczpospolita Obojga Narodów, król Stanisław August Poniatowski zbyt mało czynił, aby temu zapobiec. W owym czasie pan Chłapowski i ja byliśmy posłami ziemi wielkopolskiej. Sejm zwany Czteroletnim albo Wielkim obradował z krótkimi przerwami. Celem najważniejszym patriotycznie nastawionej części posłów były reformy państwa. Przeszły ci one do historii jako Konstytucja 3 maja, w dziejach narodów druga po amerykańskiej ustawa zasadnicza.

– Co to ma wspólnego z Basią?

– Ma to, niecierpliwy wacpanie, że rzadko wyjeżdżaliśmy z Warszawy do swoich domów, najwyżej na święta. Kiedy wracaliśmy, sąsiedzi byli ciekawi nowych wiadomości ze stolicy. Zbieraliśmy się a to u hrabiego Mielżyńskiego, a to u mnie w Manieczkach, a to w Śmiglu u pana Chłapowskiego. Przy winie w ogrodzie albo przy biesiadnym stole rozprawialiśmy o tym, co może nastąpić, jeśli popołu nie uratujemy Rzeczypospolitej. Katolicki naród polski znalazł się w kleszczach między prawosławnymi i luteranami. To większe zagrożenie jak w czasie szwedzkiego potopu. Katastrofa, mości skrybo.

– A gdzie jest Basia, Panie Generale?

– Często, zamiast bawić się lalkami, pierworodna Chłapowskich siedziała cichutko w kąciku albo w cieniu dębu i przysłuchiwała się naszym rozmowom. Zapamiętałam te jej wielkie oczęta jak dojrzałe śliwki i otwarte półksiężycy usteczek. Boże, jak to dziecko łowiło nasze słowa, jaki niepokój był na jego rumianej twarzyczce, chociaż pewnie niewiele rozumiało z tego, o czym rozprawialiśmy podocho-ceni winem i sytuacją polityczną.

– Rządy konfederacji targowickiej doprowadziły do drugiego rozbioru Polski. W 1793 roku Prusy zagarnęły Wielkopolskę. Basia miała wtedy jedenaście lat.

– We dworach wielkopolskich stacjonowały oddziały pruskie. Po miastach słychać było niemiecką mowę. Nie tylko przy magnackich, lecz i ziemiańskich, i chłopskich, i mieszczańskich stołach zastanawiano się, co dalej z Rzeczypospolitą. Jakim sposobem przywrócić ojczyźnie wolność? Największą nadzieję wiązano z Tadeuszem Kościuszką. I, uwierz mi, mości skrybo, z Janem Henrykiem Dąbrowskim, który przystąpiwszy do konfederatów targowickich, szybko od nich odstąpił. Wtedy Basia mogła po raz pierwszy usłyszeć o swoim przyszłym mężu.

– Spotkał ją Pan więcej razy?

– Ksawerostwo Chłapowscy nigdy nie przyjeżdżali do Manieczek ze swoimi dziećmi. Gdy bywałem u nich z żoną, żartowaliśmy, że gdyby nasz Łukasz był starszy, moglibyśmy rody połączyć. Panienska Basia mi się widziała. Do tego dziedziczka dóbr Łopuchowo... Jak już powiedziałem, nie raz i nie dwa bywałem w Śmiglu u pana Chłapowskiego, sam i z Esterką. Bywałem w pałacu hrabiego Mielżyńskiego w Poznaniu... O czym prawiliśmy? Najczęściej o tym, co robić, żeby we własnym kraju czuć się jak u siebie. Dwory nasze, jaskółki fruwały nad naszymi polami, bociany chwytają żaby na naszych łąkach, wierzby szumią po naszymu, a rządy obce. Tak dłużej być nie może! Co robić, żeby to zmienić?... Walczyć, waszmoście! Odpowiadał generał Dąbrowski. Jak walczyć? Mężnie, przyjacielu.

– Był Pan przyjacielem generała Dąbrowskiego?

– Jestem dumny z tej przyjaźni. Kiedym napisał swą pierwszą sztukę *Zygmunt August*, miałem w zamiarze spłodzić kolejny utwór sceniczny o herosie, któremu na imię Jan Henryk Dąbrowski. Moje imię nie jestem godne twego pióra, przyjacielu, rzekł Dąbrowski. Chcę ci się odwdziżyć za przyjaźń, którą mnie obdarowałaś. Na pewno nadarzy się jeszcze niejedna sposobność. Kiedy, drogi Janie Henryku? Już niedługo, drogi Józefie Rufinie, już niedługo.

– W 1799 roku Napoleon Bonaparte przejął władzę we Francji. Zanim to się stało ku radości narodu, Bonaparte pokonał

Austriaków we Włoszech. Generał Dąbrowski wiązał z nim nadzieję na odzyskanie niepodległości przez Polskę.

– W naszych domach coraz głośniej i śmiej się mówiono o generale Dąbrowskim jako tym, który przywróci Polskę na mapie Europy. Po klęsce powstania kościuszkowskiego wielu polskich patriotów znalazło schronienie we Francji. Kiedy w lutym 1796 roku generał z rodziną przyjechał do Paryża, natychmiast rozpoczęliśmy starania o utworzenie polskiego legionu. 9 stycznia 1797 roku generał podpisał umowę z rządem Republiki Lombardzkiej. Wojsko miało nosić polskie mundury i występować pod polskimi sztandarami. Język komend i stopnie wojskowe też miały być polskie. Jedynie na szlifach tkwił włoski napis „Ludzie wolni są braćmi”. Nawiązując do rewolucji francuskiej, kokardy na mundurach były trójkolorowe.

– Czy Polacy chętnie garnęli się do oddziału polskiego?

– Wierz lub nie, mości pisarzu, takiej ochoty do walki nigdy wcześniej nie widziałem. W maju 1797 roku w legionach było siedem tysięcy żołnierzy mówiących po polsku. A kolejne tysiące rodaków były gotowe przelewać krew za wolną ojczyznę. Zdaniem generała Dąbrowskiego legiony powinny liczyć setki tysięcy żołnierzy. Prócz mundurów, sztandarów, komend i stopni polskich powinny też mieć swoją pieśń.

– Wziął Pan sobie do serca słowa generała i powiedział: napisz pieśń, którą będą śpiewały nasze legiony?

– Ani generałowi Dąbrowskiemu, ani generałowi Rymkiewiczowi, ani generałowi Wielhorskiemu, którzy dowodzili legionami, nie pisałem choćby półsłowem o swoim zamiarze. A jak się nie uda? Tobie, waszmość, nie będę wyjaśniać, dlaczego nie każde ziarno poezji kiełkuje... Pamiętam dobrze, że kwaterowałem w Reggio nell'Emilia niedaleko Bolonii. Za pióro chwyciłem 16 lipca 1797 roku. Trzeciego dnia słowa *Pieśni legionów polskich we Włoszech* były na papierze.

– A co z melodią? Kto ją skomponował?

– Nie masz jednego autora melodii legionów. Ktoś mi powiedział, że gdy słowa były gotowe, mistrz Michał Kleofas Ogiński ułożył melodię. To nie może być prawda. Marsz Ogińskiego wyraźnie różni

się od *Mazurka Dąbrowskiego*, jak ku mojej radości i dumie zaczęto nazywać *Pieśń legionów polskich we Włoszech*.

– Kto więc jest kompozytorem skoczego i pełnego rozmachu *Mazurka Dąbrowskiego*?

– Naród.

– Naród?... Polski naród?

– Zdolnościami pisarskimi łaskawy Bóg obdarzył mnie szczerze. Talentem muzycznym skromniej, nie jestem jednak z tych, jak powiadają, którym słoń nadepnął na ucho. Wypiwszy szklaneczkę wina z lombardzkiej piwniczki, w przyjacielskiej kompanii, śpiewałem z wielką radością. Toteż układając *Pieśń legionów*... dobieierałem słowa tak, aby można je było rychło śpiewać... W moim domu rodzinnym w Będominie stał zegar z warsztatu gdańskiego mistrza Bel-laira. O pełnych godzinach wygrywał on melodię z ludowej pieśni *Czegoś oczki zapłakała*. Tak mi utkwiła w głowie ta melodia, że pisząc pierwszą część *Pieśni legionów*, cały czas ją słyszałem. Druga część pochodzi z *Pochwały weselości* śpiewanej na obiadach czwartkowych.

– Czy to prawda, że ułożywszy *Pieśń*..., sam Pan ją odśpiewał?

– Uczyniłem to z niepewnością jak zostanie przyjęta 19 lipca wieczorem przy kolacji pożegnalnej. Już następnego dnia podczas wy-marszu żołnierzy z Reggio nell'Emilia śpiewały ją wszystkie kompanie. Kilka tygodni później, kiedym kwaterował w Mediolanie, generał Dąbrowski donosił mi w liście: „Żołnierze do Twojej pieśni nabierają coraz więcej gustu i my ją sobie często nucimy z winnym szacunkiem dla autora”.

– *Mazurek Dąbrowskiego*, obok pieśni *Boże, coś Polskę*, niezwykle szybko zyskał sobie popularność, był wykonywany podczas uroczystości patriotycznych, wojskowych, nucono go nawet w czasie biesiad. Ponad wiek później stał się oficjalnym hymnem niepodległego państwa polskiego. Jego dźwięki było słyszeć w hymnach Łużyczan, Jugosłowian, Słowaków... Niemiecki kompozytor Ryszard Wagner wykorzystał go w uwerturze *Polonia*.

– Rad jestem z tego powodu, mości pisarzu. Tym bardziej że i pierworodna Chłapowskich została uwieczniona po wsze czasy, czego się nie spodziewała. A może Basia nadzwyczajną siłą swojej woli sprawiła, że *Pieśń*... jak Polska nie zginęła?

– Badacze epoki napoleońskiej twierdzą, że to, iż Basia została żoną generała Dąbrowskiego, odbyło się przy Pana udziale.

– W Europie nie było ci mocniejszego władcy niż Bonaparte. Jak wypowiedział wojnę Prusom, wygrał pod Jeną i Austerstedt, otworzyła się droga do uwolnienia Rzeczypospolitej. U boku jego zwycięskiej armii szły na wschód nasze legie, ze łzami w oczach witane przez polski lud. Wszystkie powitania były miłe, ale najmiłsze spotkanie z poznańcami, którzy gremialnie wylegli na ulice miasta. Generał Dąbrowski i ja przyjęliśmy gościnę hrabiego Mielżyńskiego... Bij, zabij, waszmość, lecz nie pamiętam, gdzie moje oczy ponownie wypatrzyły Basię. Mości hrabio, zwróciłem się do hrabiego Mielżyńskiego, czyż ta dorodna panna to Barbara Chłapowska, córka podczaszego wschowskiego? A jakże, ona. I wówczas hrabia Mielżyński zaprezentował Basię nie tyle mnie, co generałowi Dąbrowskiemu. Skłoniła się przed nami panna wysoka, smukła, niebieskooka, z jasnymi włosami, o pięknej karnacji skóry. Jednego nie pamiętam: czy podczaszanka wschowska odziedziczyła urodę po matce czy po ojcu.

– Czy już wtedy, w Poznaniu, Basia wpadła generałowi w oko?

– Mówiono, że w kawalerach przebiegała jak w koszu z ulęgałkami. Żaden się jej nie widział. Już podejrzewano, że łopuchowski majątek przekaże klasztorowi i resztę życia spędzi w zakonnym habicie. Tam, w Poznaniu, poprosiła generała o pomoc w odnalezieniu jej starszego brata Klemensa, który, zaciągnąwszy się do pruskiego wojska, bił się z Francuzami. „Imię brata zapisałem w pugilarzesie, oznajmił mój przyjaciel, a Asińdzki w sercu”.

– Aż takie wrażenie Basia wywarła na generale Dąbrowskim?

– Gdy generał, który był wdowcem niemal dwa razy od niej starszym, rok po owym spotkaniu w Poznaniu poprosił o jej rękę, tylko się spłoniła. Jakby na niego czekała. Czasem serce dostrzega to, do czego umysł nie ma dostępu... W tym samym roku Klemens Chłapowski wrócił z niewoli francuskiej.

– Wróćmy do Pana kolei losu.

– Chcesz waszmość wiedzieć, jak było z moim ożenkiem?

– Chcę się dowiedzieć, jak to się stało, że Pan, Generale, urodzony na Kaszubach, ożeniony z Kunegundą Drwęską herbu Gozdawa, właściciel Będomina, stał się właścicielem dóbr w podwschowskich Łysinach.

– To trochę skomplikowane, cierpliwości więc... Zapoznałeś się waszmość z moją biografią, wiesz zatem, że od małego ciągnęło mnie nie do nauki, a do sztuki i polityki. Już zacząłem studiować prawo w niderlandzkiej Lejdzie, gdy wezwano mnie do kraju i nakazano jechać na służbę dyplomatyczną do Wiednia. Po klęsce polityki barskiej, wróciłem do rodzinnego Będomina. Rozżalony postanowiłem, że koniec z polityką, do końca moich dni będę orać, siał i zbierać plony. Może tak by się stało, gdyby matka moja zgodziła się na ślub z Kunusią. Ona nie dla ciebie, synu, dzieli was zbyt duża różnica wieku. Kunusia była siedemnaście lat ode mnie starsza, ale mnie to nie wadziło. Starsza to i roztrośniejsza, mówiłem. Nie tylko stroje, bale, kuligi będą jej w głowie. Nie zgadzam się, aby Kunegunda została moją synową, oznajmiła matka. Ożeniłem się wbrew matce. Niestety Kunusia zmarła podczas połogu. Tom wrócił do polityki, na urząd podwójwódzkiego poznańskiego.

– Spytałem o podwschowskie Łysiny, Panie Generale.

– Cierpliwości, waszmość, cierpliwości... Kiedy w 1772 roku wracałem z misji konfederackiej w Wiedniu, zatrzymałem się w majątku Rostworowskich w wielkopolskiej Wełnie, skąd najkrótsza droga prowadziła do Będomina na Kaszubach. Tam, kiedym zasiadł do stołu, moje oczy dostrzegły trudnej do opisania urody panienkę. Gospodarzu, przedstaw mi domowników, zwróciłem się do hrabiego Rostworowskiego, który był moim przyjacielem od czasów sejmowych. Pan Andrzej wskazywał głową panie i panów. Esterka, siostrzenica mojej żony, córka Tomasza Wierusz-Kowalskiego, zastępcy sędziego wschowskiego, właściciela dóbr w Łysinach na ziemi wschowskiej. Panienka spłoniła się i z tymi rumieńcami na policzkach było jej tak ładnie, jak żadnej innej.

– Panie Generale: Łysiny.

– O sprawach sercowych trzeba opowiadać bez pośpiechu, waszmość... Nie przypadek, a taka była wola Boża, że po śmierci Kunusi przyjąłem urząd podwojewódzkiego poznańskiego. Mimo że sprawy państwowe mnie zajmowały od rana do wieczora, byłem bardzo samotny. Przyjaciele czynili wszystko, aby mnie wyswatać z którąś wdową, ale żadna mi się nie widziała... Nie pytaj, bo nie pamiętam, jak to się stało, że znowu pojechałem do Rostworowskich w Wełnie.

– I tam znowu Pan spotkał Esterę Wierusz-Kowalską?

– I tam znowu spotkałem Esterkę, nie podlotka jak wtedy, kiedy wracałem z Wiednia, lecz urodziwą pannę... 11 września 1780 roku w kościele parafialnym Podwyższenia Krzyża Świętego w Wełnie ślubowaliśmy sobie miłość i wierność małżeńską. Esterka miała 23 lata, ja byłem o dziesięć lat starszy. Stała się dziedziczką dóbr wokół Wschowy, ja miałem majątek na Kaszubach. Sprzedaliśmy je i kupiliśmy włości w Manieczkach z przyległościami w Boreczkach, Przyłepkach niedaleko Śremu. Pieniędzy wystarczyło jeszcze na dobra w Krobowie koło Grójca.

– W Manieczkach państwo Wybiccy żyli długo, zgodnie i szczęśliwie.

– Nie tak szczęśliwie, bo za to, że angażowałem się w prace polityczne Prusacy odebrali mi majątek. Dopiero Bonaparte uznając zasługi dla Rzeczypospolitej kazał zwrócić co moje... Szczęśliwie żyliśmy wtedy, kiedy na świat zaczęły przychodzić nasze dzieci: Teresa, Łukasz i Józef. W zaciszu Manieczek, wspierany przez Esterkę i przyjaciół, pisałem poezję, dramaty, komedie, opery. Sam je reżyserowałem, ilustrowałem muzyką, występowałem jako aktor ku radości sąsiadów i gości. Bylibyśmy jeszcze bardziej szczęśliwi, gdyby w ojczyźnie działało się wedle naszego pragnienia.

– Uważa Pan, że Wschowa powinna być dumna, iż uwiecznił Pan córkę jej obywatela w pieśni, która się stała hymnem narodowym?

– Wschowa może być dumna z wielu powodów. Lubili w niej bywać polscy królowie. Kazimierz Wielki poślubił Jadwigę we wschowskim kościele, a uczta weselna odbyła się na tamtejszym zamku.

W czasach saskich miasto było przecież nieoficjalną stolicą Rzeczypospolitej, gdzie rezydowali królowie i obradował senat.

– Spytałem o wdzięczność wobec Pana, autora hymnu narodowego. We Wschowie nie ma szkoły, biblioteki, drużyny harcerskiej Pańskiego imienia. Nie jest Pan patronem nawet najkrótszej uliczki czy placyku na obrzeżach miasta. Dopiero w 2010 roku radni rozważali nadanie Pańskiego imienia szkole w Łysinach.

– Z głębi serca jestem im za to wdzięczny.

– Dziękuję za rozmowę.

Barbara Dąbrowska z Chłapowskich

Urodziła się 30 listopada 1782 w Śmiglu (?) koło Kościana jako pierwsze dziecko Nepomuceny i Ksawerego Chłapowskich herbu Dryja

Wykształcenie m.in. w zakresie dobrych manier, wiedzy o sztuce i w zakresie nauk ścisłych otrzymała w domu rodzinnym, sprawnie posługiwała się językami francuskim i niemieckim, gorzej łaciną

1798 – o jej rękę starał się szlachcic Skórzewski spod Kalisza, lecz nie była zainteresowana zamążpójściem

około 1800 – nie przyjęła oświadczyn Jana hrabiego Kwileckiego, co jej ojciec skwitował to zdaniem „Twoja rzecz, moja panno córko”

6 listopada 1806 r. – podczas pobytu w Poznaniu pierwszy raz zobaczyła generała Jana Henryka Dąbrowskiego, mogło to być w pałacu Mielżyńskich, na przyjęciu w pałacu Gurowskich lub na balu w ratuszu, wtedy hrabia Józef Mielżyński przedstawił pannę Chłapowską generałowi Dąbrowskiemu

po lipcu 1807 – Barbara dowiedziała się od swego ojca, że od 1803 r. generał Dąbrowski jest wdowcem, ma zamężną córkę Karolinę i syna Jana Michała w jej wieku

4 września 1807 – generał Dąbrowski złożył wizytę Chłapowskim w Śmiglu, wtedy też poprosił Barbarę o rękę

5 listopada 1807 – w poznańskiej katedrze owdowiały pięćdziesięciodwuletni generał Dąbrowski wziął ślub z dwudziestopięcioletnią panną Barbarą Chłapowską, przyjęcie weselne odbyło się w pałacu hrabiów Mielżyńskich

listopad 1807 – Barbara przeniosła się do posiadłości Jana Henryka Dąbrowskiego w Winnej Górze koło Środy w Wielkopolsce

30 maja 1812 – w Poznaniu została przedstawiona Napoleonowi Bonapartemu przez generała Wybickiego

18 marca 1814 – w Paryżu Barbara Dąbrowska urodziła córkę Bogusławę

koniec 1814 – Dąbrowscy zamieszkali w Warszawie

19 września 1815 – w Warszawie Barbara urodziła syna Bronisława

8 czerwca 1818 – Barbara owdowiała po śmierci generała Dąbrowskiego

22 stycznia 1848 – Barbara Dąbrowska zmarła



*Pieczęć Landsberga z okresu,
kiedy Theodor Burchardt był syndykiem miejskim
(zdjęcie pomologa nie zachowało się do naszych czasów)*

Theodor Heinrich Otto Burchardt

Urodził się 13 grudnia 1771 w Landsberg and der Warthe (pol. Gorzów Wielkopolski), zmarł 6 lutego 1853 r. w Landsberg. Z wykształcenia był prawnikiem, z zamiłowania sadownikiem. Po powrocie z Züllichau (pol. Sulechów) do Landsberga najpierw pracował jako syndyk miejski, potem jako dyrektor Domu Ubogich. W rodzinnym folwarku Schönhoff (dziś rejon ul. Jagiellończyka i Borowskiego) prowadził doświadczenia z odmianami drzew owocowych. Tam około 1840 r. wyhodował jabłoń, która przeszła do historii sadownictwa jako Reneta Landsberska. Pierwsze owoce uzyskał dziesięć lat później. Miał córkę, ale ona nie kontynuowała działalności sadowniczej ojca.

JABŁKA NA SZARLOTKĘ

**Rozmowa z Theodorem Burchardtem,
twórcą Renety Landsberskiej**

– Wszedł Pan do historii pomologii mimo braku uniwersyteckiego wykształcenia przyrodniczego.

– W mojej rodzinie istniał kult studiów prawniczych. Każdy pruski mężczyzna powinien zabiegać o miejsce w życiu publicznym i godnie swemu państwu służyć. Ojciec uważał, że jeśli Wszechmogący obdarzył mnie talentem sadownika, to na pewno zdążę nim zostać. Dlatego zamiast poznawać nauki przyrodnicze, studiowałem prawo. Mój młodszy brat August nie kierowałby zakładem karnym w Słońsku, gdyby nie skończył fakultetu prawniczego uniwersytetu we Frankfurcie. Ojciec, który przez siedem lat sprawował odpowiedzialny urząd nadburmistrza Landsberga, był także radcą sądowym i sędzią miejskim.

– Czy zaraz po studiach prawniczych wrócił Pan do Landsberga i zajął się sadownictwem?

– Niedługo po zdobyciu dyplomu uniwersyteckiego otrzymałem posadę syndyka miejskiego w Sulechowie i sekretarza miasta. Po godzinach pracy urzędniczej, w zaciszu swego mieszkania, poznawałem tajemnice pomologii, czyli nauki o drzewach i krzewach owocowych. Tamże napisałem pierwszą pracę pomologiczną, wprowadziłem tylko kilkunastostronicową, za to odnotowaną w katalogach międzynarodowych. W 1806 roku wyszła obszerna, bo 145 stron zajmująca

Biblioteka pomologiczna, czyli rzecz bibliograficzna na temat pomologii nie tylko europejskiej, lecz i światowej. Nieskromnie się przyznam, że za tę pracę wiele podziękowań i gratulacji dostałem. Ona uświadomiła mi, iż mimo braku formalnego wykształcenia sadowniczego, powinienem zająć się tworzeniem nowych odmian jabłoni.

– Dlaczego akurat jabłoni?

– Owoce tego drzewa są bardzo cenne dla zdrowia człowieka. Nie banany, nie mandarynki i pomarańcze, nawet nie cytryny, lecz właśnie jabłka. Anglicy nie bez powodu twierdzą: codziennie jedno jabłko zjedz, a medyk nie będzie ci potrzebny. Wedle niemieckiego powiedzonka, kto zje jedno jabłko rano i drugie wieczorem, w zdrowiu setnych urodzin doczeka.

– Każda pliszka swój ogon chwali. Mleczarze mówią: pij mleko, rybacy: jedz ryby, pszczelarze...

– Nie znam lepiej zaopatrzonej apteki niż jabłko. Są w nim związki mineralne i witaminy, a najwięcej witaminy C. Ta witamina podnosi odporność organizmu na zakażenia, ułatwia gojenie się ran i złamań, zapobiega zmianom w zębach, nie dopuszcza do obrzęków kończyn, chroni przed niedokrwistością, przed depresją, ma wpływ na układ nerwowy... Niestety, organizm ludzki jej nie wytwarza, zatem trzeba z zewnątrz ją dostarczyć. W jabłku są też inne substancje wzmacniające układ odpornościowy człowieka.

– O jakich substancjach Pan mówi?

– Zawarte w jabłku garbniki przewód pokarmowy dezynfekują i zapobiegają nadmiernej fermentacji w jelitach, a ta sprawa dotyczy niemal każdego człowieka w starszym wieku. Najcenniejsze w jabłku jednak to jest, co większość konsumentów odrzuca: skórka i gniazda nasion. Znajdujące się tam pektyny podczas trawienia wiążą szkodliwy dla organizmu ołów oraz kobalt. I jeszcze coś dla pań dbających o zgrabną sylwetkę. Zjedzenie nawet kilograma jabłek oznacza dostarczenie organizmowi zaledwie 500 kalorii.

– Dlaczego jedne jabłka z tego samego sadu dojrzewają wcześniej, inne później? Dlaczego niektóre są czerwone, inne żółte albo zielone? Są też jabłka kwaśne, słodkie...

– To efekty świadomej pracy sadownika, wymagające wiedzy i doświadczenia. Pan wspomniał o cechach owoców najbardziej rzucających się w oczy. Sadownik potrafi wyhodować drzewa, które będą miały jabłka słodkie, soczyste i twarde, czyli deserowe. Wie, co trzeba zrobić, aby drzewa rodziły owoce kwaśne, najlepsze do zakwaszania potraw czy do pieczenia ciast. Są też jabłka zwane stołowymi.

– Przygotowując się do rozmowy z Panem przeczytałem, że jabłonie rosły w starożytnym Egipcie, Asyrii, Babilonie. Homer w *Odysei* pisze o jabłoni jako o drzewie „o pięknych owocach”. Zaczniemy więc tę opowieść od przypomnienia, jaką drogę pokonało jabłko, aby dostać się na stół Europejczyka.

– Za przodków naszych jabłoni przyrodnicy uważają wywodzącą się z Kaukazu jabłoń niską *Malus pumila* i znaną niemal na całym Starym Kontynencie jabłoń dziką *Malus silvestris*. Prawdopodobnie kupcy wędrujący tzw. jedwabnym szlakiem nieświadomie przywieźli do Europy owoce jabłoni występującej w Azji Środkowej. Kupcy zabierali prowiant na drogę, w jego składzie oprócz suszonego mięsa, mąki, kaszy, ziół, były świeże owoce, wybarwione, duże, soczyste. Mięsz zjadali, a ogryzki, w których znajdowały się nasiona, wyrzucali. Rosły zatem siewki, z nich drzewa, które krzyżowały się z miejscowymi jabłoniami.

– W kulturze chrześcijańskiej jabłko jest uważane za symbol pokusy.

– W ogrodzie rajskim pramatka Ewa zerwała owoc z drzewa poznania dobra i zła. W *Piśmie Świętym* nie znajdzie pan stwierdzenia, że pramatka zerwała jabłko i praojcowi Adamowi je podała. Tego chrześcijanie domyślają się na podstawie obrazów średniowiecznych malarzy. A skoro spytał pan o symboliczne traktowanie tego owocu, to trzeba przypomnieć, że symbolem władzy królewskiej jest jabłko z krzyżem, bowiem bywa używane podczas koronacji obok berła i korony. Można je znaleźć w herbach miast, znakach firmowych, również w poezji, w malarstwie.

– W *Pomologii* pod redakcją polskich uczonych, wydanej w połowie XX wieku, przeczytałem, że gdyby w jakimś ogrodzie

posadzono wszystkie odmiany jabłoni wyhodowane przez człowieka to byłoby ich co najmniej dziesięć tysięcy.

– Chyba najwięcej nowych odmian jabłoni powstało pod koniec XVIII i w XIX stuleciu. Za Karola Wielkiego, a więc w drugiej połowie VIII i pierwszej połowie IX wieku uprawiano zaledwie siedem odmian. Za czasów Ludwika XII, czyli pod koniec XV stulecia ich liczba do 32 wzrosła. W moich czasach hodowla nowych odmian drzew owocowych była bardzo rozpowszechniona. Proszę sobie wyobrazić, że w niewielkim Prószkowie nie opodal Opola powstał Królewski Instytut Pomologiczny. Ogromne znaczenie i sławę w całej Europie, a nawet poza Starym Kontynentem, sadownicy wokół Gubina zdobyli. Specyficzny mikroklimat, jaki tam panuje pozwolił na wyhodowanie znakomitych odmian jabłek, czereśni, leszczyn, nawet brzoskwiń. Nie wszystkie przetrwały i nie zawsze udawało się uzyskać owoce spełniające oczekiwania. Ale takie przecież bywają losy twórców i ich dzieł.

– Domyślam się, że wiedzę pomologa zdobył Pan drogą samokształcenia.

– Kto chce się nauczyć, u samego diabła się nauczy. Szczęśliwie dotarcie do celu to nic innego jak praca i nauka, nauka i praca. Proszę sobie wyobrazić, że zaproszono pana do biblioteki, w której po półkach opasłe księgi ku sufitowi się wspinają. Wziął pan do ręki *Historię roślin* Valeriusa Corolusa z połowy XVI wieku, uważaną za pierwszy system pozwalający na uporządkowanie wiedzy o odmianach. O, coś dla mnie, kandydata na sadownika, cieszy się pan. Tak właśnie ze mną było. Gdy już miałem się wgłębić w treść *Historii...*, zobaczyłem stojące obok, o sto lat późniejsze prace Jana Jonstona i Adriana Diela. Jak pan sądzi, które mnie zainteresowały?

– Późniejsze.

– Bardzo dobrze! W nauce i pracy, mój panie, najważniejszy jest postęp i rozwój. Jonston żył w Lesznie (uczył się w gimnazjum ewangelickim w Bytomiu Odrzańskim), a więc niezbyt daleko od mojego Landsberga. Jego praca, podobnie jak system ułożony przez Diela, to była wiedza o odmianach oparta na takich cechach jabłek jak pora dojrzewania, kształt owocu i barwa skórki, ścisłość miąższu. Diel wyróżniał ponadto odporność drzew na choroby. Ponieważ nie

miałem wykształcenia przyrodniczego, na genetyce roślin znałem się miernie. Inżyniera genetyczna była dla mnie czarną magią i *a priori* odsunąłem ją na bok.

– W ogrodzie botanicznym Polskiej Akademii Nauk w Warszawie wśród starych odmian jabłoni rośnie Reneta Landsberska. Drzewa te są też w Instytucie Sadownictwa i Kwiaciarstwa w Skierniewicach oraz w arboretum w Bolestraszczykach koło Przemyśla. Co Pan o niej wie?

– Naprawdę?!

– Od jesieni 2009 roku drzewka rosną w sadzie szkoły ogrodniczej na gorzowskim Zieleńcu. Landsberska wraca również do ogrodów przydomowych gorzowian.

– Ta odmiana jest owocem mojej wieloletniej pracy sadownika!

– Gdzie ją Pan prowadził?

– Moja rodzina miała dwa folwarki w Landsbergu, jeden na Santockim, drugi na Młyńskim Przedmieściu. Ten, który był mi bliższy ze względu na sad, czyli Schönhoff położony był w dolinie Kłodawki między wzgórzami Kosackenberg a Galgenberg. Niedługo po powrocie z Sulechowa do Landsberga w folwarku na Młyńskim Przedmieściu założyłem szkółkę drzew owocowych.

– Mimo braku wykształcenia przyrodniczego ciągnęło Pana do sadownictwa.

– Prawo jest nudne. Niczego nie można stworzyć, bo inni to wcześniej zrobili. Prawnikowi wolno je jedynie interpretować i zgodnie z oczekiwaniem prawodawcy stosować. Może gdybym miał talent muzyczny, kupiłbym fortepian i w wolnym czasie na nim grał. Gdyby Wszechmogący obdarzył mnie znajomością języków obcych, przetłumaczyłbym *Eneidę* Wergiliusza, jak to uczynił urzędnik pocztowy, mój rodak Josef Nürnberg. Albo jak jego syn Woldemar, mimo iż był lekarzem w Landsbergu, pisał nowele i poezje. Mnie innego rodzaju twórczość pociągała, bo przecież hodowla nowych odmian drzew owocowych to tworzenie. Nasiona pan sadi, podlewa i ciągle się zastanawia, czy to, co z nich wyrośnie, będzie doskonalsze od drzewa matecznego. Ta niewiadoma pobudza sadownika do

wysiłku umysłowego i fizycznego, do kontaktów i dyskusji z innymi hodowcami. A jaka satysfakcja, gdy się uda...!

– Czy dobrze zrozumiałem: w folwarku Schönhoff na obrzeżach Landsberga wyhodował Pan jabłoń szlachetną, która do historii przeszła jako Reneta Landsberska?

– To było około 1840 roku.

– W jaki sposób ją Pan uzyskał? Mam na myśli selekcję siewek innych jabłoni, szczepienie...

– Najpierw prowadziłem selekcję drzewek odmiany znanej niemal w całej Europie jako Żłota Reneta. Potem zaszczerpiłem na niej, obrazowo to przedstawiając, gałązki odmian innych jabłoni, które rozdziły owoce kwaskowe, pożądane przez cukierników.

– Dlaczego wyhodował Pan mało atrakcyjną renetę, a nie coś, czym zachwycaliby się wszyscy na świecie?

– Jak w prawie każdym odkryciu, tak i w tym dużą rolę odegrał przypadek było. Otóż w przeciwieństwie do mojej żony Luise bardzo lubiłem słodkości. Ilekroć z Frankfurtu wracałem, gdzie były urzędy rejencji, zatrzymywałem się na posiłek w gospodzie Zur Sonne przy trakcie napoleońskim. Przed wyruszeniem w dalszą drogę prosiłem o kawałek ciasta z makiem albo serem i kieliszek miejscowego wina. W moim domu, specjalnie dla mnie, przed południem każdej soboty kucharka piekła strudle. Kiedyś niepotrzebnie powiedziałem, że już znudziły mi się strudle. Spytałem, czy potrafi upiec coś innego, na przykład makowiec czy sernik, jaki jadłem w gospodzie Zur Sonne. Kucharka faktografa, pana von Syssnarsky'ego, choć to kłótniwy człowiek, za to niepomniernie zasłużony dla miasta – odzywa się ona do mnie – potrafi upiec wyborny jabłecznik. A czy ja jestem gorsza? Nazbierałam owoców w sadzie, upieklam ciasto, ale się nie udało. Jabłka z pańskiego sadu, Herr Burchardt, za dużo soku mają. Gdyby pan radca, zamiast całymi popołudniami nicponić w szkółce, wyhodował specjalną odmianę jabłek na strudel, piekłabym ciasto nie raz w tygodniu, a codziennie... Na moim miejscu jakby się pan zachował, słysząc takie słowa z ust prostej, aczkolwiek niezwykle starannej kobiety?

– Czyżby kucharka zmusiła Pana do wyhodowania Renety Landsberskiej?

– Można tak to określić.

– Kiedy drzewo wydało pierwsze owoce?

– Dwanaście lat czekałem na rezultat mojej pracy. Dwanaście długich lat. Pierwszy owoc zerwałem we wrześniu roku... niech sobie przypomnę... zaraz... wtedy do Landsberga dotarła wiadomość, że we Lwowie aptekarz Ignacy Łukasiewicz lampę naftową wynalazł...

– W 1852 roku.

– Wtedy zerwałem pierwszą renetę i zaniósłem ją do kuchni.

– Czy kucharka była zadowolona?

– Jeszcze tego samego dnia upiekła strudel. Francuzi powiadają, że nie ma smaczniejszego ciasta jabłecznego jak szarlotka, którą jako pierwszy podał na stół królewski wielki mistrz kuchni Antonin Carême. Gdyby on miał owoce Renety Landsberskiej... Mogę spokojnie umierać, powiedziała po podwieczorku kucharka. A dlaczego? Emilie chce umierać? Kucharka tymi słowami odpowiedziała: to są najlepsze jabłka na szarlotkę. O takich marzyłam. Już nic lepszego w życiu mnie nie spotka.

– Pewnie był Pan dumny ze swego osiągnięcia?

– Nie.

– Stworzył Pan odmianę renety rodzącej najlepsze na świecie jabłka na szarlotkę i nie był z tego dumny?

– Reneta Landsberska ma wiele wad.

– Jakich wad?

– Drzewa w pełni owocowania rodzą za dużo jabłek niewyrośniętych. Jedne rosną pokaźne, inne niewiele większe od rajszych jabłuszek, w dodatku owoce wzajemnie kaleczą się zbyt długimi szypułkami. W Landsbergu zimy były łagodne to i niegroźne dla jabłoni. Im bardziej na wschód, tym częściej renety ulegają wymarznieniu, co zniechęca sadowników do uprawy tej odmiany. Nie udało mi się uodpornić mojego dziecka na parch i mączniaka. Landsberska należy

do drzew krótkowiecznych, czego przyczyną jest wyczerpanie z powodu obfitego owocowania.

– Wymienił Pan wady swojej renety. Sądzę, że zalet ma dużo więcej.

– Każdy cukiernik uważa, że jabłko jest bardzo ważne przy pieczeniu szarlotki. Owoc mojej renety ma skórkę gładką, tłustą, nieco błyszczącą, zielonkawożółtą, często z pomarańczowym lub pomarańczowokarminowym rumieńcem. Miąższ jest biały z lekkim seledynowym odcieniem, bardzo kruchy, niezwykle delikatny o winno-słodkim smaku. Te ostatnie cechy sprawiają, że nie ma lepszego jabłka na szarlotkę niż odmiana przeze mnie stworzona w Landsbergu, zwana też Renetą Burchardta.

– A jakie zalety ma jabłoń z punktu widzenia sadownika?

– Wegetację wcześniej rozpoczyna i późno kończy. Obficie kwitnie, kwiaty są mało wrażliwe na przymrozki. W przeciwieństwie do wielu bardziej znanych odmian, Landsberska wcześniej wchodzi w okres owocowania, nawet w trzecim roku po posadzeniu. Gdyby jeszcze należała do drzew długowiecznych...

– Czy Landsberska jest matką innych odmian?

– W 1882 roku w Geisenheim koło Darmstadt nieznany mi osobście sadownik z nasion mojej renety wyhodował odmianę Minister von Hammerstein, znaną też pod nazwą Hammerstein. W odróżnieniu od mojej owoce jabłoni z Geisenheim są duże, skórkę mają zabarwioną na intensywny kolor żółtoczerwony. Miąższ jest zielonkawożółty, bardzo aromatyczny. Wspaniały smak.

– A więc niedaleko padło jabłko od jabłoni.

– Z niezrozumiałych względów córka mojej renety nie stała się znana tak jak matka Landsberska. Można ją spotkać w ogrodach hobbyistów.

– Sądzę, że w sadzie Schönhoff powstały jeszcze inne odmiany drzew owocowych, które przetrwały jedynie w książkach pomologicznych. Czy mam rację?

– W 1838 roku wyhodowałem odmianę gruszy, którą nazwałem Landsberger Malvasier, co na polski można przetłumaczyć jako Malwazja Landsberska. Sadzonki wysłałem do kilku znanych w Niemczech hodowców, aby sprawdzili, gdzie jeszcze poza Landsbergiem można ją uprawiać. Sadzonkę dostał również Georg Liegel. W swojej pomologii napisał, że skórka Landsberskiej Malwazji jest gruba, na początku zielono-cytrynowa, w okresie dojrzałości staje się ciemnożółta i ma czerwone plamki. Miąższ jest słodki, aromatyczny, daje się smarować jak masło. Wspominam o tym dlatego, że Liegel nazwał ją Gruszą Masłową...Wytknął mi pan, że studiów przyrodniczych nie ukończyłem i mimo to sadownictwem się zajmowałem. Otóż Liegel również nie miał dyplomu botanika, a był cenionym autorem książek z zakresu pomologii. Ja, jak pan wcześniej zauważył, z wykształcenia jestem prawnikiem. Georg Liegel był farmaceutą, właścicielem apteki w Braunau nad Innem i burmistrzem tego austriackiego miasta.

– Co jeszcze Pan stworzył w Landsbergu?

– Leszczynę. Odmiana nosi niemiecką nazwę Längste Zellernuss, co na język polski można przetłumaczyć jako Landsberska Długa. Jest to duży krzew, wyhodowany z odmiany Pełna Pontyjska, wcześniej zakwitający. Orzechy są bardzo duże, bo mające 30 milimetrów długości, 20 milimetrów szerokości i do 17 milimetrów grubości. Jądro, czyli to, co się znajduje w jasnobrunatnej skorupce, jest duże, ma przyjemny migdałowy smak. Jego delikatna jasnobrązowa skórka daje się łatwo ściągnąć. Ma jedną wadę: zbyt dużo orzechów nie rodzi. Dlatego można ją spotkać w sadach kolekcjonerskich.

– To wszystkie odmiany, które urodziły się w folwarku Schönhof w Landsbergu?

– A skądże! Tylko Wszchemogący wie, ile prób przeprowadziłem. Większość zakończyła się niepowodzeniem. Moim marzeniem było wyhodowanie takiej odmiany jabłoni, która będzie rodziła duże owoce, soczyste, słodkie, o intensywnie czerwonej skórce. Nawet najsmaczniejsze żółte czy zielone jabłka nie wywołują takiego zainteresowania klientów jak owoce czerwone, połyskujące w słońcu.

– Kto kontynuował Pana dzieło?

– Nikt. Nie miałem męskiego potomka. Moja jedyna córka Friederice wyszła za mąż za pastora, który nawet swój wolny czas oddał Kościołowi ewangelickiemu.

– Po tym, co usłyszałem, jestem przekonany, że miał Pan rację, kiedy postanowił zająć się pomologią. Jako prawnik byłby Pan jeszcze jednym zapomnianym prawnikiem. Jako pomolog rozślawił Pan swoje miasto. Dziękuję za rozmowę.

Odmiany drzew owocowych z środkowonadodrzańską metryką

Czasem trudno potwierdzić, po czyjej strony Odry i Nysy Łużyckiej rozpoczęto hodowlę drzew i krzewów odmian, które nie tylko przeszły do historii, ale i zachowały się do dziś w starych sadach i ogrodach. Moim zdaniem, poza już wspomnianymi Renetą Landsberską i Gruszą Landsberską, w regionie lubuskim zostały wyhodowane:

Waraszka – to spolszczona nazwa jabłoni nazywanej przez Niemców:

Gubener Warraschke albo Warraschka, wyhodowanej przez sadownika spod Gubina w 1800 r. Zbiór czerwonożółtych owoców, które są soczyste, bardzo słodkie, nie za duże, przypada w październiku. Po polskiej stronie jabłoni ta jeszcze rośnie w starych sadach w okolicach Gubina i Krosna Odrzańskiego. Po stronie niemieckiej jest znana m.in. i dlatego, że firma ze Spreewaldu robi z jej owoców napój w smaku przypominający wino owocowe

Gubińska Czarna – odmiana czereśni przez Niemców nazywana Gubener schwarze Knorpelkirche, stworzona w 1867 r. Drzewo niezwykle płodne. Owoce mają skórkę czarną z połyskiem. Miąższ prawie czarny, bardzo słodki.

Gubińska Bursztynowa – bardzo popularna w okolicach Gubina odmiana czereśni, po niemiecku nazywanej: Gubener Bernsteinkirsche. Jak podaje Johann Oberdieck, została wyhodowana przed 1875 rokiem. Skórka owoców jest żółto-bursztynowa (kukurydziana), z połyskiem. Owoce długo muszą wisieć na drzewie, aby dojrzeć, wtedy skóra przybiera nawet kolor jasnokarminowy. Miąższ jasny, kwaśny.

Marchijska – prof. dr hab. Stefan Białobok przypuszcza, że ta wczesna czereśnia została sprowadzona z Francji w latach 1870-1871 do Gubina, gdzie otrzymała nazwę Früheste des Marktes albo Früheste von der Mars. Dojrzewa pod koniec maja, dlatego bywa też nazywana Majową. Owoce są małe, w kształcie serc, skórka czerwona, miąższ trudno odstaje od pestki, jasnoczerwony.

Fromma Czarna – prof. dr hab. Stefan Białobok powtarza po niemieckim pomologu Truchsessie, że ta odmiana czereśni średnio wczesnej została wyhodowana w Gubinie na początku XIX wieku, gdzie otrzymała nazwę Fromms Herzkirsche. Dojrzewa w końcu trzeciego tygodnia dojrzewania czereśni. Owoce są dość duże,

szeroko sercowe, skórka prawie czarna, cienka, miąższ ma słodki smak, nieco korzenny, sok jest ciemnoczerwony.

Winklera Biała – dr Z. Giertych twierdzi, że jest to odmiana czereśni średnio wczesnej, wyhodowanej w Gubinie około 1816 roku przez Winklera. Jej niemiecka nazwa brzmi: Winklers weisse Herzkirsche. Owoce dojrzewają w trzecim tygodniu dojrzewania czereśni, są duże, sercowate, wydłużone, skórka żółta, od strony słonecznej zabarwiona na czerwono, miąższ delikatny, żółty, soczysty, słodki, lekko kwaskowaty, smaczny.

Dönnisena Żółta – zdaniem prof. dr. hab. Stefana Białoboka prawdopodobnie czereśnia ta została wyhodowana w Gubinie, gdzie otrzymała niemiecką nazwę Dönnisens gelbe Knorpelkirsche. Należy do późnych odmian; dojrzewa bowiem w szóstym tygodniu dojrzewania czereśni. Owoce są średniej wielkości, sercowate, skórka żółta, miąższ żółto kremowy, mało soczysty, słodki, sok niezabarwiony.

Poznańska – prof. dr hab. Stefan Białobok pisze, że ta późna czereśnia została wyhodowana w Gubinie w gospodarstwie Schneidera, gdzie ją nazwano Schneiders späte Knorpelkirsche. Prof. dr hab. Szczepan Pieniążek nazywa tę odmianę Schneidera Późna. Ten ostatni sadownik podaje, że jest wrażliwa na mróz. Owoce dojrzewają w piątym tygodniu dojrzewania czereśni, są duże i bardzo duże, sercowate, skórka czerwobrunatna, miąższ twardy, soczysty, słodko kwaskowaty, źle odstaje od pestki.

Büttnera Czerwona – wedle prof. dr. hab. Szczepana Pieniążka po polsku czereśnia ta bywa nazywana Poznańską, jej niemiecka nazwa brzmi: Büttners rote Knorpelkirsche. Została wyhodowana w Gubinie pod koniec XVIII wieku przez Johanna Büttnera. Dojrzewa wcześnie, owoce są duże lub bardzo duże, mają żółtą skórkę pokrytą czerwobrazowym rumieńcem, miąższ słodki, żółty.

Gubińska Czerecha – rodowód tej odmiany czereśniowo-wiśni nie jest znany. Drzewo rośnie bardzo silnie, w owocowanie wchodzi nieco później niż większość znanych czereśni. Owoce są czerwone lub ciemnoczerwone, kuliste, lekko spłaszczone, duże. Miąższ jest ciemnoczerwony, jędrny, średnio soczysty, słodki, smaczny. Ze względu na dobry, słodki smak są doskonałe do bezpośredniej konsumpcji. Dojrzewa w trzeciej dekadzie czerwca.

Siewka Krośnieńska – dr Maria Kalicka podaje, że jest to średnio wczesna odmiana brzoskwini występująca w okolicy Krosna Odrzańskiego. Owoce dojrzewają w końcu sierpnia, są duże, prawie całkowicie pokryte rumieńcem, miąższ soczysty, smaczny, przy pestce zabarwiony na kolor karminowy.

Leszczyna Gubińska – prof. dr hab. Franciszek Goc twierdzi, że tę odmianę wyhodował Bukacz w Gubinie, a rozpowszechnił ją Theodor Burchardt. Jej niemiecka nazwa brzmi: Gubener Zellernuss albo Zellernuss aus Guben. Owoce są małe, skorupka twarda, jasnobrunatna, gładka. Jądro orzecha nie zawsze wypełnia skorupkę, jest kończyste, jędrnej konsystencji, a jego skórka jest jasna, przetykana brunatnymi żyłkami.

Leszczyna Barcelońska – nie jest znane nazwisko hodowcy tej odmiany. Prawdopodobnie powstała na początku XX wieku w Gubinie. Jej niemiecka nazwa brzmi: Gubener Barcelloner. Wedle prof. dr. hab. Szczepana Pieniążka owoce dojrzewają w połowie września, są duże albo bardzo duże, odwrotnie jajowate.

Gubinka – to lokalna odmiana śliwy wczesnej. Drzewo jest wysokie, ma duże liście. Owoce są małe, kuliste, żółte z różowoczerwonymi cętkami, miąższ żółty, słodki. Nie nadaje się na przetwory domowe. Zalecana do spożycia na surowo. Rozpowszechniona w ogrodach przydomowych w okolicach Gubina.

Nie udało się potwierdzić, czy w znanej z produkcji wina Zielonej Górze wyhodowano nowe odmiany winorośli. W zaadresowanym do mnie liście na ten temat Mirosław Kuleba pisze, że znane są „dwie odmiany o lokalnych synonimach: Kleinitschke i Kurzrot, ale nie wiadomo, co to było i czy jeszcze gdzieś przetrwało”. Zdaniem autora *Ampelografii Zielonej Góry*, „nowe odmiany powstają na winnicy każdego roku z nasion, które się wysiewają i które mają niekoniecznie ten sam genotyp jak rośliny rodzicielskie”.



Emil Hegemann – zdjęcie z archiwum Waldemara Waciarka

Emil Gustaw Hegemann

Urodził się 20 lutego 1864 r. w rodzinie niemieckiego kolonisty. Należał do Niemieckiego Związku Kresów Wschodnich. W przeszłości był pruskim oficerem. W 1894 r. objął obowiązki pastora w parafii ewangelickiej w Świętnie. W 1936 r. wydał drukiem swoje wspomnienia z czasów istnienia republiki Świętno. W ostatnich dniach stycznia 1945 r. jako emerytowany pastor rezydent był świadkiem wejścia wojsk radzieckich do Kargowej, Świętna...

WIEŚ, KTÓRA BYŁA REPUBLIKA

**Rozmowa z pastorem Emilem Hegemannem,
prezydentem Wolnego Państwa Świętno**

– Czy Ksiądz należał do Niemieckiego Związku Kresów Wschodnich, przez Polaków zwanego Hakatą?

– Obywatele Wielkich Prus mieli moralny i obywatelski obowiązek wspierać swój kraj od Morza Bałtyckiego po Sudety. Niepisany obowiązek spoczywał przede wszystkim na inteligencji i klasie średniej. W statucie naszego związku, o który pan spytał, oprócz wielu powinności natury gospodarczej była mowa o podnoszeniu i wzmacnianiu niemieckiego poczucia narodowego na terenach zamieszkałych przez Niemców i Polaków.

– To znaczy o germanizowaniu ziem historycznie polskich?

– Protestuję przeciw używaniu słowa: germanizować. Naszym celem była troska o cywilizacyjny rozwój państwa pruskiego, oprócz rdzennej Brandenburgii obejmującego także Pomorze, Marchię Wschodnią, Śląsk, prowincję poznańską, zamieszkałego w znacznej części przez ludność niemiecką, wyznającą religię protestancką.

– I dlatego Hakata zachęcała Niemców do wykupywania ziem z rąk polskich? Dlatego wzmacniała niemiecką klasę średnią na ziemi wielkopolskiej? Dlatego urzędnicy niemieccy w zaborze pruskim dostawali dodatek do pensji?

– Na pierwszym miejscu stawialiśmy porządek i praworządność, potem przedsiębiorczość, pracowitość, edukację i pielęgnowanie niemieckich tradycji kulturowych, zabezpieczenie socjalne. Nie byliśmy wrogami Polaków, przeciwnie: to Polacy występowali przeciw nam w Nowym i Starym Kramsku, Dąbrówce Wielkiej, Babimoście.

– **Proszę choćby o jeden przykład wrogości ze strony Polaków.**

– Skoro Polacy nie chcieli wyjeżdżać, lecz żyć w państwie pruskim, ich zadaniem było przestrzeganie obowiązującego prawa. W Prusach religią dominującą był protestantyzm, a nie katolicyzm. Niestety, Kościół katolicki na tej ziemi nie tylko wspierał Polaków, ale i podbuntował przeciw legalnej władzy, jaką sprawowali urzędnicy z woli miłośnicwie panujących nam królów. Językiem urzędowym był niemiecki. Odmowa nauki w szkołach w tym języku oznaczała naruszenie obowiązującego prawa. W Niemieckim Związku Kresów Wschodnich, przez pana nazwanego obraźliwie Hakatą, zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Jaki był tego wynik?

– **Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy. Wzmocnienie polskiego ducha narodowego.**

– A to doprowadziło do buntu, przez pana rodaków nazywanego powstaniem wielkopolskim. Jedynym zwycięskim powstaniem w historii Polski, jak z dumą podkreślacie.

– **Komu jak komu, ale Księdzu, człowiekowi wykształconemu, nie muszę przypominać, co w 1918 roku wydarzyło się w Europie.**

– Trwały jeszcze działania na frontach pierwszej wojny światowej, a już alianci zebrali się w Paryżu, aby ogłosić klęskę Niemców.

– **W Rosji doszło do krwawego przewrotu znanego jako rewolucja bolszewicka. Za przykładem bolszewików w państwie niemieckim powstawały rady robotnicze i żołnierskie. W Berlinie abdykował cesarz Wilhelm II i wybuchła rewolucja znosząca cesarstwo. Józef Piłsudski opuścił więzienie magdeburskie.**

– Ja to wszystko przeżyłem z moimi parafianami. Wprawdzie z dala od wydarzeń, ale przecież i do Świętna docierały gazety. Wtedy po

raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, że byt państwa niemieckiego w dotychczasowych granicach jest zagrożony. Trzeba walczyć o wielkie Niemcy bez względu na cenę, jaką naród zapłaci... Uspokoiłem się dopiero, kiedy w listopadzie 1918 roku w Poznaniu powstała Naczelna Rada Ludowa, która zadeklarowała pozostanie prowincji poznańskiej przy Prusach. Bogu niech będą dzięki.

– A 3 grudnia 1918 roku zebrał się wielkopolski sejm i wyraził wolę przyłączenia zamieszkałych przez Polków ziem do państwa polskiego. Dwa tygodnie później premier rządu w Warszawie Jędrzej Moraczewski uznał to za jeden z priorytetów odradzającego się państwa. W odpowiedzi rewolucyjny rząd w Berlinie wysłał oddziały Grenzschtzu do Wielkopolski.

– Za późno wysłał. Nasze formacje zbrojne nigdy nie powinny były opuszczać prowincji poznańskiej, jednak konieczność wojenna spowodowała podjęcie takich, a nie innych rozwiązań. Za późno wysłał i dlatego, o czym dowiedziałem się gdzieś w połowie grudnia, od jesieni 1918 roku w poznańskich miastach powstawały tajne struktury wojskowe. Co najgorsze i niepojęte, w oparciu o wracających z frontu oficerów i żołnierzy Reichswehry uważających się za Polaków. Na plebaniach, w pałacach, po dworach, w zagrodach majątnych kmieci, a i bywało, że biedaków Polacy zgromadzili broń. Klasztory przygotowały się na przyjęcie rannych. Na skuteczną obronę niemieckiego porządku państwowego i praworządności już było za późno.

– Po przyjeździe Ignacego Paderewskiego do Poznania wybuchło powstanie wielkopolskie.

– Powstanie?... Bunt. Próba przejęcia władzy siłą. Rewolta. Tak, to była rewolta.

– Niemieccy historycy ową rewoltę, jak Pastor twierdzi, jednak nazywają powstaniem. Ich zdaniem 27 grudnia 1918 roku wybuchło *Posener Aufstand*. Anglicy piszą, że tego dnia zaczęło się *Greater Poland Rising*. A więc powstanie.

– ...

– Czy Ksiądz znał język polski?

– Nigdy nie odczułem potrzeby, aby podjąć się nauki tego języka.

– Większość mieszkańców Świętna to byli potomkowie osadników z tak zwanej kolonizacji olęderskiej w XVII wieku. We wsi mieszkali również Polacy.

– Polaków dało się policzyć na palcach lewej ręki. Tak, tak... Niech pan sobie wyobrazi, że gdy w 1878 roku odbywały się wybory do Reichstagu, to tylko jedna osoba odważyła się oddać głos na polskiego kandydata, a aż 112 na Niemca.

– Pastor jako osoba wykształcona, pełniąca przede wszystkim rolę duchowego przywódcy w Świętnie z tym się zgadzał?

– Mimo że z zasady sprawowałem opiekę duszpasterską nad protestantami, starałem się pomagać innowiercom. Raz w tygodniu ksiądz katolicki z Kębłowa lub z Obrzy przyjeżdżał do Świętna, na moją prośbę w kościele ewangelickim odprawiał mszę świętą i wygłaszał kazanie dla Polaków. Na msze przychodzili katolicy z Kolska, Łupicy, a nawet Ciosańca i Starego Jaromierza. Ja miałem prawo do sprawowania nabożeństw dla protestantów w Kębłowie i Obrze.

– Kiedy Ksiądz dowiedział się o wybuchu powstania w Poznaniu?

– Wiadomości rozniosły się błyskawicznie, tym bardziej że rebelianci...

– Powstańcy.

– ... prawie bez walki zajmowali miasteczka i wioski. 1 stycznia opanowali Rakoniewice, zaraz potem byli w okolicznych wsiach. Zanim 5 stycznia weszli do Wolsztyna, rozkręcili tory w okolicy Kębłowa, aby oddział Grenzschutzu nie mógł dostać się do miasta. Wtedy rozsądni mieszkańcy Świętna zaczęli zadawać pytanie: ku czemu to zmierza? Dlaczego wojsko nie wkracza? Dlaczego nie opanowuje rebelii?

– I wtedy postanowił Ksiądz przejąć inicjatywę?

– Nie miałem innego wyjścia. Jako duszpasterz musiałem uspokoić moje owieczki. Wskazać im drogę wyjścia ze spodziewanej niewoli, jak Pan wskazał drogę plemieniu Izraela. Przecież ludzie w Świętnie... Ci bogobojni ludzie dotąd mi ufali i wierzyli, że pod żadnym pozorem ich nie opuszczę.

– Kronikarze wydarzeń tamtych dni twierdzą, że w kościele podczas niedzielnego nabożeństwa wygłosił Ksiądz przemówienie, w którym niewiele było o Panu Bogu, a dużo o zagrożeniu Świętna.

– Pan mi wybaczył, że Jego dom potraktowałem jako salę wiecową, ale czy miałem inne wyjście? Czy miałem czekać, aż rebelianci wejdą do Świętna, przejmą władzę i ustanowią swoje prawa? A jak się zachowają wobec ludności? Czy nie powiedzą: od dziś Świętno jest wsią polską. Sołtysem musi być Polak. Ta świątynia ewangelicka będzie kościołem katolickim. W szkole dzieci będą się uczyły języka polskiego. Na to miałem pozwolić? Przecież prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson w swoim czternastopunktowym programie pokojowym mówił o prawie wszystkich narodów do samostanowienia.

– 13. punkt programu pokojowego Wilsona przewidywał utworzenie niepodległego państwa polskiego na ziemiach zaborców.

– Wilson wprowadził ten punkt na prośbę swego przyjaciela Ignacego Paderewskiego. Nie zgadzały się na to Niemcy.

– A co powiedział Lenin?

– Najpierw był za, ale potem...

– Przecież w kazaniu, w którym padła myśl o utworzeniu Wolnego Państwa Świętno, powoływał się Ksiądz na wodza bolszewików.

– Tak było. Spodobało mi się zdanie Lenina o tym, „że każda narodowość, bez żadnego wyjątku, i w Europie, i w koloniach, uzyskuje wolność i możliwość samodzielnego zadecydowania, czy tworzy państwo odrębne, czy też wchodzi w skład jakiegoś innego państwa”. Właśnie te słowa wtedy uznałem za wskazówkę, ponieważ podpowiedziały mi dalsze kroki.

– To znaczy jakie kroki?

– Kazałem sołtysowi Heinrichowi Drescherowi, aby dwa kwadranse na szóstą po południu zwołał ogólne zebranie mieszkańców wsi w gospodzie Wolfa. Tam jeszcze raz powiedziałem, co nam grozi, gdy

rebelianci zajmą Świętno. A potem, mimo iż we wsi będzie nas większość, w państwie polskim będziemy mniejszością narodową. Będziemy ludźmi drugiej, gorszej kategorii. Nawet nie musiałem powtarzać, co to znaczy. W gospodzie zapanowała przejmująca cisza. Wtedy podniosłem oczy i po chwili spytałem: kto jest za tym, aby obszar Świętna stał się neutralną republiką? Natychmiast wszyscy podnieśli ręce. Na papierze miałem przygotowany wcześniej tekst deklaracji, było tam to najważniejsze zdanie: „Obszar Świętna ogłasza się jako państwo niezawisłe, a przekroczenie granic przez obce siły będzie traktowane jako naruszenie prawa międzynarodowego i pogwałcenie neutralności”.

– Kiedy zostało proklamowane Wolne Państwo Świętno?

– Stało się to w dniu święta Objawienia Pańskiego, potocznie nazywanego Świętem Trzech Króli. 6 stycznia 1919 roku mieszkańcy wsi zebrani na placu przed kościołem uroczyście proklamowali powstanie republiki. Uznali też, że do czasu powszechnych wyborów na jej czele będzie stał tymczasowy rząd ze mną jako prezydentem ministrów i jednocześnie sprawującym urząd ministra spraw zagranicznych. Ministrem wojny i naczelnym dowódcą armii został Karl Teske, nadleśniczy z doświadczeniem oficerskim w armii pruskiej. Tekę ministra spraw wewnętrznych mieszkańcy wsi powierzyli sołtysowi Drescherowi. W skład tymczasowego gabinetu republiki wchodził ponadto panowie: Gross, Janitschki, Klemke i Zinke.

– Była to raczej zabawa w państwo, prawda?

– Dlaczego zabawa? W historii świata to przypadek nieodosobniony. W Europie ostatnich wieków było wiele autonomicznych enklaw, choćby Rijeka i Triest, Kłajpeda, Hamburg, Brema i Lubeka. Samodzielnym państwem-miastem na terenie Włoch jest Republika San Marino. Od wieków przy granicy włosko-francuskiej leży niezależna gmina i miasto Seborga. W latach 1815-1846 było Wolne Miasto Kraków, nazywane Rzeczpospolitą Krakowską.

– Czy znalazł się chociaż jeden rząd w Europie, który uznał Świętno za samodzielną republikę?

– Proszę pamiętać, że dopiero co ucihły wystrzały armatnie na frontach pierwszej wojny światowej. Europa przygotowywała traktat wersalski

określający nowy ład i porządek na Starym Kontynencie. Spodziewając się trudności, w imieniu mojego rządu najpierw zawarłem porozumienie z rebe... z powstańcami w Kęblowie. Pomógł mi w tym ksiądz Stanisław Kamiński, który odprawiał msze dla katolików w Świątnie. Trudniej było przekonać dowódcę powstańców w Obrze, chorążego Nikodema Wojtkowiaka, ale pomogła hrabina Jadwiga Świniarska. Dałem słowo, że władze republiki nie przeprowadzą nacjonalizacji jej własności ziemskiej na terytorium Wolnego Państwa Świętno. Na podstawie obu porozumień udało się doprowadzić do faktycznej neutralności naszej republiki i wytyczyć świętaniańsko-polską granicę. W skład republiki wchodziły także terytoria zajmowane przez pobliskie wsie Krzyż, Rudno i Wilcze. Co ważne, nasze ustalenia potwierdziła Międzynarodowa Komisja Aliancka i Naczelna Rada Ludowa w Poznaniu.

– Na terenie republiki mogli przebywać wyłącznie jej mieszkańcy?

– Na polecenie ministra spraw wewnętrznych przy drogach wlotowych do Świątna stanęły drewniane strażnice z tablicami wyraźnie informującymi, że tu się zaczyna obszar republiki. Każdy, kto chciał dostać się na nasze terytorium, musiał ubiegać się o przepustkę z moim podpisem i pieczęcią parafialną. Zdarzały się naruszenia granicy szczególnie przez przemytników tak z Polski, jak i z Niemiec. Byliśmy jednak państwem neutralnym.

– To znaczy, że w jednakowy sposób traktowaliście powstańców, niemieckich żołnierzy, strażników Grenzschutzu?

– Staraliśmy się postępować wedle norm prawa międzynarodowego i zdrowego rozsądku.

– Jako Niemcy sprzyjaliście Niemcom?

– Proszę nie wyciągać tak daleko idących wniosków. Owszem, zdarzało się, że za pieniądze niektórzy nasi obywatele służyli obcym formacjom wojskowym za przewodników.

– Obcym, czyli jakim?

– Proszę traktować mnie jako głowę wolnego państwa. Urzędem byłem równy prezydentowi republiki weimarskiej Friedrichowi Ebertowi.

Aby jednak nie uznał mnie pan za osobę wynoszącą się ponad stan i zaspokoić pana ciekawość, wyjaśniam, że od chwili powstania republiki na jej terytorium dochodziło do potyczek i bojów między żołnierzami niemieckimi i, tylko ze względu na pana, użyję tego określenia, powstańcami. W trakcie walk zginęło trzech powstańców, ich ciała przekazaliśmy stronie polskiej. Proszę przyjąć do wiadomości, iż nasze terytorium budziło zainteresowanie republik od nas odległych o tysiące kilometrów. Potwierdzało to zatrzymanie przez nasze służby obywatelki Francji, podejrzanej o szpiegostwo na rzecz jednego z państw europejskich.

– Kto pilnował granic republiki?

– Rząd powołał armię liczącą około 120 żołnierzy. Tworzyli ją wojacy zdemobilizowani z wojska niemieckiego, kontuzjowani frontowcy oraz rezerwiści. Armia miała dwa ciężkie karabiny maszynowe systemu Maxima, karabiny ręczne jednostrzałowe, pistolet systemu Luger, lance stalowe oraz niewielką ilość amunicji. Zamierzaliśmy powołać siły wodne, których zadaniem będzie pełnienie straży przy jeziorach, kanałach i rzekach, lecz musieliśmy z tego zamiaru zrezygnować, gdyż fryzjer przewidziany na stanowisko admirała zginął śmiercią tragiczną podczas ustalania posterunków.

– Czy państwo miało godło, barwy, hymn?

– Do czasu ustalenia państwowych symboli, pieczęć parafialna była jedynym oficjalnym znakiem rozpoznawczym, honorowanym tak przez obywateli, jak i przez państwa z nami sąsiadujące.

– Czym zajmował się prezydent ministrów?

– Przede wszystkim starałem się o uznanie naszej republiki jako państwa neutralnego, wolnego, równorzędnego wobec wszystkich pozostałych państw świata. W tym celu jedną z pierwszych wizyt złożyłem w konsystorzu ewangelickim w Międzychodzie. Rozmawiałem z przedstawicielami banku w Poznaniu, w którym do czasu proklamowania republiki parafia miała konto, aby przejęli obsługę kredytów naszego państwa. W planie miałem złożenie wizyty w starostwie, dowództwach garnizonów, w niedalekiej przyszłości w Berlinie.

– Czy republika była państwem samodzielnym, samowystarczalnym...?

– Czyniliśmy wszystko, aby tak się stało. W tym celu, na przykład, rząd zniósł ograniczenie w wypieku chleba, wprowadzone w czasie wojny, zezwolił na tłoczenie oleju. Rząd zobowiązał obywateli do informowania go o wszystkich osobach obcych, znajdujących się na terytorium państwa. Zdając sobie sprawę z sytuacji międzynarodowej po zawieszeniu działań wojennych, mój gabinet czynił starania o pokojową koegzystencję z wszystkimi sąsiadami.

– 16 lutego 1919 roku podpisano protokół przedłużający rozejm. Wstępnie ustalono przebieg linii granicznej. Zdawał sobie Książd sprawę z tego, że zbliża się koniec republiki?

– Bodajże w maju gościliśmy w Świątnie Międzynarodową Komisję Aliancką. Jej członkowie traktowali nas z szacunkiem i godnością, tak jak traktuje się rządy niezależnych, neutralnych państw. Do oficjalnego spotkania komisji z moim gabinetem doszło w gospodzie Wolfa. Na pytania dotyczące naszej przyszłości odpowiedziałem, iż zdaję sobie sprawę z trudności, jakie czekają republikę Świątno, jeśli zechce zachować *status quo*. Gdyby powstało samodzielne państwo polskie, do czego dąży rząd w Warszawie, o co z taką determinacją walczyli, powstańcy wielkopolscy, nie wyobrażam sobie, aby w jego skład wchodziła nasza republika. Powiedziałem, że zdecydowana większość mieszkańców Świątna mówi po niemiecku i wyznaje religię protestancką. Nasze miejsce jest w Rzeszy Niemieckiej, gdzie możemy egzystować na zasadzie kraju związkowego lub terytorium autonomicznego.

– Co odpowiedziała komisja aliancka?

– W jej składzie był Japończyk, liczyłem na jego przychyłność. Niestety, nie poparł moich propozycji, to znaczy oczekiwań obywateli republiki. Przewodniczący komisji powiedział tylko, że jest wdzięczny za przedstawienie sytuacji politycznej i gospodarczej, którą postara się rzetelnie i precyzyjnie zrelacjonować podczas międzynarodowego spotkania w Paryżu w sprawie wytyczenia granicy państwowej.

– 28 czerwca 1919 roku podpisano traktat wersalski. Polska się odrodziła. Traktat ustalał przebieg granicy w ten sposób,

że Świętno znalazło się po tej samej stronie co Kargowa, Babimost, Kolsko.

– Decyzję w sprawie utworzenia państwa polskiego uważam za nierozważną, tym bardziej że odbyło się to kosztem terytorium zajmowanego przez Niemcy. Wielką szkodę konferencja wersalska wyrządziła takim miejscowościom jak Obra, Kęłowo, Mochy, Jażyniec, Kopanica, odrywając je od ziemi i umacniającej się tradycji niemieckiej. Pozostawienie Świętna wraz z Kargową, Nowym i Starym Jaromierzem, Babimostem w granicach republiki weimarskiej uważam za rozważne. Było to z pewnością konsekwencją naszej oceny sytuacji, jaką w maju przedstawiłem Międzynarodowej Komisji Alianckiej.

– Kiedy upadło Wolne Państwo Świętno?

– Stanowczo protestuję przeciw użyciu takiego określenia. Proszę pana, nasza republika nigdy się nie poddała ani Polsce, ani Niemcom. Zważywszy jednak na trudności, jakich należało się spodziewać w całej Europie po zakończeniu działań wojennych, mój rząd doszedł do wniosku, że Świętno nie powinno być samodzielnym państwem, lecz leżeć w granicach wielkich Niemiec. Dokument w tej sprawie, w obecności aliantów, sporządziliśmy 10 sierpnia 1919 roku.

– Ile dni trwało to najmniejsze państwo europejskie?

– 218. Przez tyle dni sprawowałem urząd głowy Wolnego Państwa Świętno, kierowałem jego rządem i jako pastor byłem duchowym przywódcą społeczności. Mimo iż Świętno nie znalazło się na mapie powojennej Europy jako samodzielna republika, mamy swoje miejsce w historii Starego Kontynentu.

– Dziękuję za rozmowę.

„Lubuscy” Polacy spod znaku Rodła

Leon Binder (1876-1952) urodził się w rodzinie niemieckiej w Kaławie koło Międzyrzecza. 1 kwietnia 1923 r. został proboszczem w parafii katolickiej w Dąbrówce Wielkopolskiej koło Zbąszynka. Zamiast germanizować wieś, sam się spolonizował. We wrześniu 1939 r. gestapo osadziło go w obozie koncentracyjnym najpierw w Oranienburgu, potem w Dachau. Po zakończeniu wojny wrócił do Dąbrówki, gdzie nadal był księdzem. Otrzymał honorowe obywatelstwo polskie. Pochowany na cmentarzu w Dąbrówce.

Jan Budych IV (1885-1945) urodził się w Dąbrówce Wielkopolskiej. Wielokrotnie kandydował do niemieckich organów ustawodawczych i samorządowych. W 1923 r. w swojej wsi założył oddział Związku Polaków w Niemczech. Sześć lat później doprowadził do utworzenia szkoły polskiej w Dąbrówce, następnie Banku Ludowego, chóru i koła śpiewaczego. Był nazywany królem Polaków. Aresztowany we wrześniu 1939 r., był więziony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen o Bergen-Belsen. Tam zaginął po nim wszelki ślad.

Jan Cichy (1878-1957) w Nowym Kramsku prowadził gospodarstwo rolne. Założył Towarzystwo Robotników Polskich, oddział Związku Polaków w Niemczech, był członkiem Banku Ludowego, Związku Polskich Towarzystw Szkolnych. Wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, wrócił do Nowego Kramska wiosną 1940 r. Po wojnie był wójtem gminy Babimost, honorowym prezesem Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Uważano go za króla Polaków w Nowym Kramsku.

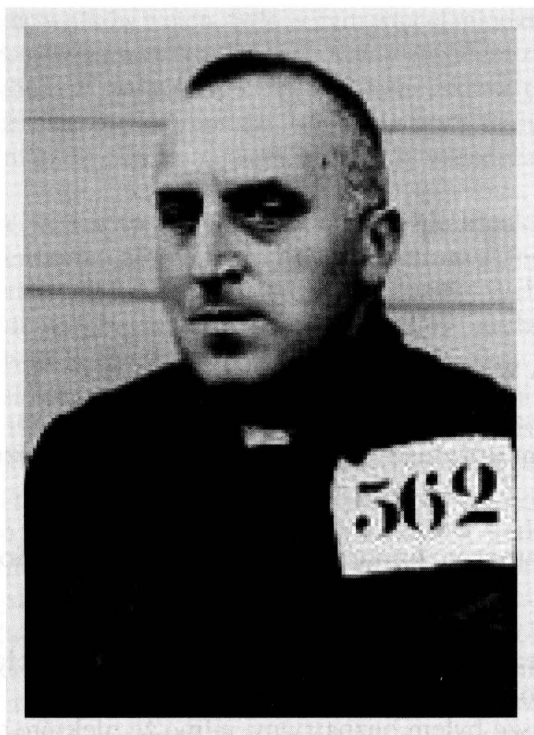
Kazimierz Lisowski (1863-1935) do Zielonej Góry przyjechał z wielkopolskiego Śremu. Najpierw pracował w fabryce mostów Beuchelta, potem założył własny zakład blacharski. W 1895 r. założył Towarzystwo Rzemieślników Polskich, do którego należało około 40 osób. Celem towarzystwa było pielęgnowanie tradycji polskich, prowadzenie polskiej biblioteki i chóru. W 1935 r. Lisowski został aresztowany, zmarł podczas przesłuchania w siedzibie gestapo.

Feliks Paździorek (1874-1955) w Pszczewie prowadził warsztat szewski. Po pozostawieniu Pszczewa w granicach Niemiec należał do głównych organizatorów życia społeczno-politycznego Polaków.

Kierował pszczewskim oddziałem Związku Polaków w Niemczech. Po wybuchu drugiej wojny światowej był na przymusowych robotach koło Skwierzyny. Po wojnie krótko pełnił urząd burmistrza Pszczewa.

Teodor Spiralski (1868-1940) rolnik w Starym Kramsku. W swojej wsi założył organizację paramilitarną Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”. Był w składzie delegacji poznańskiej na konferencję pokojową w Paryżu w 1919 r. Przyczynił się do założenia szkoły polskiej w Starym Kramsku, przeznaczając część swego domu na jej potrzeby. Zginął w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen.

Franciszek Taberski (1886-1970) ożenił się w Podmoklach Wielkich, gdzie mieszkał do śmierci. Współtworzył koło Związku Polaków w Niemczech w swojej wsi, potem szkołę polską. Po wybuchu drugiej wojny aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. W 1940 r. został zwolniony z obozu. Po wojnie prowadził gospodarstwo rolne, był też członkiem Towarzystwa Miłośników Ziemi Babimojskiej.



*Carl von Ossietzky – autor nieznany –
zdjęcie ze strony www.pl.wikipedia.org*

Carl von Ossietzky

Urodził się 3 października 1889 w Hamburgu, zmarł 4 maja 1938 r. w Berlinie. Przed rozpoczęciem pierwszej wojny światowej nawiązał współpracę z pismem *Das freie Volk*. W latach 1916-1918 był na froncie, ranny pod Verdun. W 1920 r. rozpoczął współpracę w *Volks-Zeitung*, którą redagował do 1924. W 1927 r. został redaktorem naczelnym pisma *Die Weltbühne*. W 1931 r. aresztowany za ujawnienie tajemnicy państwowej. Dwa lata później przez rok był więziony w obozie koncentracyjnym Sonnenburg (pol. Słońsk koło Kostrzyna nad Odrą). W 1935 r. otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla, lecz władze niemieckie nie zezwoliły mu na jej odebranie.

NOBLISTA W OBOZIE KONCENTRACYJNYM

**Rozmowa z Carlem von Ossietzkym,
niemieckim antyfaszystą, dziennikarzem i pisarzem**

– Jakim numerem oznaczono Pana w obozie w Sonneburgu?
– 238.

– Czy należał Pan do partii komunistycznej, socjalistycznej, socjaldemokratycznej?

– Nie. Zawsze byłem bezpartyjny, mimo że niektóre sztandarowe idee wymienionych przez pana orientacji społecznych były mi bardzo bliskie. Powiadam: niektóre. Co do wielu założeń miałem wątpliwości lub nie zgadzałem się z nimi, ponieważ nie służyły prawdzie, a więc ludziom pragnącym żyć w pokoju i wolności.

– Biografowie twierdzą, że był Pan antyfaszystą, lecz i propagatorem pacyfizmu.

– Póki jako żołnierz nie zostałem wysłany na front pierwszej wojny światowej, nie zdawałem sobie sprawy, ile zła wyrządzają dowódcy bezmyślnie wykonujący rozkazy swoich przełożonych, a ci polityków i rządzących. Jako młodzieniec byłem pod wrażeniem arcydzieł Lwa Tołstoja, a właściwie pod wrażeniem jego odwagi w literackim ukazywaniu niszczącej siły agresji i występowaniu przeciw podbojom pokojowo nastawionych narodów. Przeczytałem wszystko, co na temat walki o demilitaryzację napisał Jean Jaurès, twórca dziennika *L'Humanite* i to pod wpływem jego rozważań chciałem piórem

wspierać przeciwników wojen. Było w tym więcej młodzieńczego porwy niż zdrowego rozsądku. Dopiero kiedy zostałem zmuszony do wzięcia karabinu w swoje ręce, kiedy na własnej skórze przekonałem się, do jakich nieszczęść prowadzi wojna, postanowiłem, że do końca swoich dni będę czynnym pacyfistą. Nigdy więcej żadnej wojny!

– Pierwsza wojna światowa zakończyła się klęską Niemiec. Traktat wersalski zezwolił republice weimarskiej na utrzymanie niewielkich i słabo uzbrojonych sił zbrojnych. Niemieckie firmy nie mogły nawet prowadzić badań nad bronią. Nad Renem powstała strefa zmilitaryzowana.

– To tylko słowa, na które dali się nabrać alianci w Paryżu. Kiedy 28 czerwca 1919 roku politycy podpisywali traktat, właściciele wielkich firm niemieckich już się zastanawiali jak obejść jego postanowienia. Nie mogli prowadzić badań nad bronią na terytorium Rzeszy, robili to więc w swoich zagranicznych filiach. Traktat dopuszczał szkolenie artylerzystów, więc pod pozorem wspomagania tego rodzaju wojska rodziło się niemieckie lotnictwo. W moskiewskich zakładach Junkersa doskonalono i konstruowano samoloty bojowe, a w Lipecku niedaleko Woroneża powstało lotnisko przeznaczone do szkolenia pilotów niemieckich. W Kazaniu prowadzono próby z nową bronią pancerną pod ukrytymi nazwami: traktor ciężki i traktor lekki, czyli z prototypami czołgów. Utworzono wywiad i kontrwywiad. Wedle traktatu Niemcy mogły utrzymywać do stu tysięcy ludzi w wojskach lądowych, ale i tego nie przestrzegano. O jawnym łamaniu postanowień wersalskich musiała wiedzieć Międzyaliancka Wojskowa Komisja Kontrolna. Dlaczego nic nie robiła?

– Może jednak komisja nie o wszystkim wiedziała?

– Ci zwyczajni Niemcy, którzy szczęśliwie przeżyli I wojnę, byli za państwem bez broni, z niewielkim, nie nastawionym agresywnie wojskiem. Natomiast koła finansowe i przedsiębiorcy uważali traktat podpisany w Wersalu za zbyt surowy wobec narodu niemieckiego. Właściciele wielkich firm i banków zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli będą trzymali się litery prawa międzynarodowego to nie odzyskają czołowej pozycji gospodarczej na świecie... Zastanawia się pan, czy komisja międzyaliancka wiedziała o tym, co się działo w Niemczech. Ja też nad tym się zastanawiałem.

– Dlatego pismo *Die Weltbühne*, którego Pan był szefem i wydawcą, ujawniło dokumenty świadczące o tym, że Reichswehra się zbroi. Że republika weimarska oszukuje Ligę Narodów, sąsiadów i resztę świata. W ten sposób *Die Weltbühne* zwróciło uwagę na złamanie postanowień wersalskich i spowodowało oburzenie międzynarodowej opinii.

– W 1931 roku pierwszy i jedyny raz sąd skazał mnie na półtoraroczny areszt. Skazał, jak to usłyszałem, za ujawnienie tajemnicy wojskowej. Nie padło ani jedno słowo na temat wiarygodności polityków i wojskowych. Ja byłem winny. Ja i *Die Weltbühne*, ponieważ zdemaskowaliśmy rządzących. Po odsiedzeniu 227 dni za kratami, 22 grudnia 1932 roku na mocy amnestii zostałem zwolniony.

– W 1933 roku Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników (NSDAP) wygrała wybory w republice weimarskiej. 30 stycznia tego roku Adolf Hitler objął urząd kanclerski.

– A w nocy z 27 na 28 lutego wybuchł pożar w Reichstagu. Wybuchł sam czy ktoś świadomie go spowodował? Na to pytanie nigdy nie usłyszałem jasnej odpowiedzi. W każdym razie partia Hitlera przejęła pełnię władzy w republice, co oznacza, że Rzesza Niemiecka stała się państwem totalitarnym. Drugim na świecie po Rosji Sowieckiej krajem, gdzie pod szyldem fałszywie pojmowanej ochrony narodu i państwa ludzi pozbawiono podstawowych praw. Przestrzeganie ogłoszonego wtedy stanu wyjątkowego było nadzorowane nie przez wojsko, lecz przez policję i organizacje paramilitarne, podporządkowane partii nazistowskiej. Dekret o ochronie narodu i państwa był wielokrotnie przedłużany, aż do 1945 roku. I, co jest bardzo ważne, od wydanych na jego podstawie decyzji nie można się było odwołać do sądu powszechnego.

– Wspomniany przez Pana dekret dawał prawo policji do aresztowania każdego bez podania powodu.

– Dekret ukazał się następnego dnia po pożarze Reichstagu. Również następnego dnia Herman Göring, komisarzyczny minister spraw wewnętrznych Prus, wydał nakaz zamknięcia gazet określanych jako komunistyczne i socjaldemokratyczne. Kazał aresztować przedstawicieli inteligencji krytycznie nastawionej do remilitaryzacji Niemiec,

do ograniczania swobód obywatelskich, w rzeczywistości chodziło mu o odizolowanie przeciwników tego, co dopiero miało nastąpić. Wśród aresztowanych byli pisarze i publicyści Egon Erwin Kirsch, Erich Mühsam, Ludwig Renn. Kilka dni później w ręce policji wpadł przywódca niemieckich komunistów Ernst Thälmann. Göring odważył się internować nawet tych posłów do Reichstagu, którzy należeli do frakcji komunistycznej. Niebawem za kratami znalazło się co najmniej 50 tysięcy antyfaszystów i podejrzanych o pacyfizm.

– **Wśród aresztowanych 28 lutego 1933 roku był także Pan.**

– Po mnie przyszedł tego dnia nad ranem. Już wiedziałem o podpaleniu Reichstagu i przygotowywanym ograniczeniu podstawowych praw obywatelskich zapisanych w konstytucji Niemiec, nie spodziewałem się jednak tak błyskawicznego działania policji. Świadczyło to o tym, że jeszcze przed wybuchem pożaru w budynku parlamentu narodowi socjaliści przygotowali spisy osób, które zamierzali aresztować.

– **Jaki powód aresztowania podała Panu policja?**

– Najpierw coś mówiono o areszcie ochronnym. Potem o zdradzie państwa.

– **Powiedziano, co haniebnego Pan zrobił wobec swego państwa, że było konieczne aresztowanie i postawienie przed sądem?**

– Tego nigdy się nie dowiedziałem. Po kolejnym aresztowaniu nigdy nie stanąłem przed sądem. Wpierw siedziałem w areszcie prezydium berlińskiej policji przy Alexanderplatz, stąd mnie przewieziono za kraty Columbiahaus, potem do więzienia śledczego w Spandau. Szef gestapo, Rudolf Diels, za wszelką cenę starał się wmanewrować mnie w proces oskarżonych o podpalenie Reichstagu. Gdy mu się to nie udało, usłyszałem, że zdradziłem wielki naród niemiecki. Kiedy, gdzie...? Zamiast usłyszeć odpowiedź, zasłaniałem się przed ciosami dręczycieli. Później przeczytałem w jakiejś gazecie, że zaraz po pożarze Reichstagu Hitler powiedział do Göringa: „Nie ma teraz litości. Kto stanie nam na drodze, będzie zniszczony!”.

– 6 kwietnia 1933 roku Pana razem z pisarzem Mühsamem, adwokatem Littenem i setkami innych przeciwników narodowego socjalizmu przetransportowano do Sonnenburga, gdzie powstał jeden z pierwszych w Niemczech obozów koncentracyjnych.

– Nie byłem wśród pierwszych, za którymi zamknęła się brama Sonnenburga. Dwa dni wcześniej z wypełnionych berlińskich więzień i kazamatów do miasteczka nad Wartą przewieziono działaczy Komunistycznej Partii Niemiec. Jaki im postawiono zarzut, tego nie wiem. Przed załadowaniem nas do okratowanych wagonów oznajmiono, że nie jesteśmy godni stąpać po ziemi Goethego, Wagnera, Haydna. Musimy być odizolowani od zdrowego społeczeństwa w państwowym obozie koncentracyjnym w Sonnenburgu. O tym miejscu słyszałem, że do 1931 roku było traktowane jako najcięższe więzienie, przeznaczone dla przestępców z najwyższymi wyrokami. Kto je przetrzymał, do końca swoich dni nie zapominał, co człowiek jest w stanie zrobić człowiekowi. To nic, że osadzony nie zawsze był skazany. Przecież ani ja, ani ci, którzy ostatniego dnia lutego 1933 roku byli aresztowani, nigdy nie usłyszeli wyroku prawomocnego sądu.

– **Jak mieszkańcy Sonnenburga zareagowali na wasz przyjazd?**

– Propaganda nazistowska swoje zrobiła, przedstawiając nas jako osoby zagrażające narodowi niemieckiemu, które trzeba natychmiast odizolować od pracowitego, bogobojnego, wrażliwego społeczeństwa. Gdzie odizolować? Najlepiej w miejscach do tego specjalnie przeznaczonych, takich jak Sonnenburg, Dachau, Oranienburg. Wiązało się to z jeszcze jednym faktem. Otóż ciężkie więzienie w Sonnenburgu powstało na początku XIX wieku. Jednym z jego pierwszych dyrektorów był August Burchardt z Landsberga, młodszy brat sławnego pomologa Theodora Burchardta, twórcy Renety Landsberskiej i innych odmian drzew owocowych. Po stu latach użytkowania, ze względu na katastrofalne warunki i brak pieniędzy na remont, w 1931 roku sonnenburskie więzienie zamknięto. A ponieważ był to największy w Sonnenburgu i najbliższej okolicy zakład pracy, mieszkańcy ślali petycje do gauleitera Marchii Wschodniej Wilhelma Klubego. Ten zapewnił ich, że jeśli narodowi socjaliści

wygrają wybory do Reichstagu to więzienie zostanie reaktywowane. Gauleiter słowa dotrzymał, bo 1 kwietnia w Sonnenburgu powstał państwowy obóz koncentracyjny, gdzie wielu mieszkańców miasteczka dostało pracę.

– 7 kwietnia gazeta *Sonnenburger Anzeiger* napisała, że „od dworca kolejowego do dawnego więzienia skazańcy musieli maszerować z hymnem narodowym na ustach, w czym nieraz pomagały im gumowe pałki berlińskiej policji pomocniczej”.

– Nie wszystko zapamiętałem, ale tego jak nas traktowano podczas przemarszu z wagonów do obozu, nie da się zapomnieć. Wtedy zdałem sobie sprawę, że mój przyjaciel z Łamów *Die Weltbühne* Kurt Tucholsky miał rację, przestrzegając Niemców przed narodowymi socjalistami. Tam, w Sonnenburgu, nie mogłem pojąć, dlaczego niewykształceni mężczyźni w brunatnych koszulach i policjanci tak się znęcają nad słabszymi fizycznie, ale mocniejszymi umysłowo profesorami, prawnikami, pisarzami, publicystami, dziennikarzami, lekarzami, aktorami, którzy nie popierają ich ideologii.

– **Nieliczni mieszkańcy Sonnenburga mieli odwagę przyznać, że słyszeli jęki dochodzące zza murów obozu.**

– W chwili uwięzienia w Sonnenburgu miałem 44 lata. Ponieważ praca publicysty i redaktora nie sprzyjała wysiłkowi fizycznemu, nie byłem ani sprawny, ani silny. Łatwo się przeziębiałem. Tacy jak ja najgorzej znosili piekło uwięzienia. W Sonnenburgu za każde słowo wypowiedziane zbyt cicho albo zbyt głośno można było dostać pięścią w twarz. Za każde spojrzenie lub jego brak można było trafić do karceru. Tylko dlatego, że się miało nogi i ręce, trzeba było padać w błotnistą mazię, pełzać, wstawać, padać, pełzać. I tak w kółko. Pijani strażnicy bez litości bili nas pałkami, podkładali nogi, popychali. Nic więc dziwnego, że niedożywieni, niewyspani, słabi fizycznie, maltretowani więźniowie szybko podupadali na zdrowiu.

– **Wspomniał Pan o niedożywieniu więźniów. Zatem czy w Sonnenburgu nie przestrzegano norm ustalonych przez berlińską centralę?**

– Prześladowcy mówili, że szkoda nas żywić. Śmiali się: zdechniesz jak nie z głodu, to z pragnienia albo z powodu choroby. Fama o nas

miała się roznieść po całych Niemczech, aby inni nigdy nie odważyli się wybrać naszej drogi. W Sonnenburgu, gdy wcześniej było tu więzienie uważane za ciężkie, lepsze jedzenie dostawali osadzeni kryminaliści, recydywiści, mordercy skazani na dożywocie. O leczeniu chorych nie było mowy, chociaż istniał szpital, był na miejscu czy przyjeżdżał lekarz z Kostrzyna.

– Jako zakład karny ciężkie więzienie w Sonnenburgu było przeznaczone dla 637 skazanych. Ze względu na niehumanitarne warunki zamknięto je w 1930 roku.

– A trzy lata później 1 kwietnia w tych niehumanitarnych warunkach narodowi socjaliści utworzyli obóz koncentracyjny... Zadaniem więźnia funkcyjnego Willego Hardera było sporządzanie spisu osadzonych. Wedle jego rachunków pod koniec 1933 roku w celach państwowego obozu koncentracyjnego w Sonnenburgu siedziało 1226 więźniów przewencyjnych, czyli aresztowanych na podstawie dekretu o ochronie narodu i państwa.

– Najpierw nadzór nad obozem sprawowały berlińskie oddziały brunatnych koszul Sturm 1. i Sturm 33., potem oddział policyjny dowodzony przez majora Walthera Weckego.

– W połowie kwietnia 1933 roku berlińczyków zastąpił oddział brunatnych koszul z Frankfurtu nad Odrą. Od połowy sierpnia władzę w Sonnenburgu przejęła elitarna jednostka esesmanów Standarte 27. Nadal część funkcji więziennych pełnili przymuszeni do tego osadzeni. Nasi prześladowcy mówili: za darmo nie będziemy was żywili. Dlatego więźniowie pracowali w kuchni, w pralni, byli fryzjerami, kroczymi starych gazet używanych jako papier toaletowy. Nie mając żadnego doświadczenia, bo byli to przeważnie inteligenci, osadzeni pracowali w stolarni, kuźni, blacharni, ślusarni, wypłatali krzesła z wikliny, a nawet zbudowali strzelnicę dla esesmanów.

– Czy wśród osadzonych byli sami berlińczycy o poglądach lewicowych?

– Berlińczyków było najwięcej, wśród nich wybitne osobistości jak lekarz Georg Benjamin, adwokat Gerhard Obuch, dziennikarz Fritz Kroh, pisarz Ludwig Renn, posłowie do Reichstagu Ottomar Geschke, Ernst Grube, Ernst Scheller, Walter Stoecker. W październiku

przywieziono do Sonnenburga wolnomularzy z wielkim mistrzem symbolicznej Wielkiej Łoży Niemiec doktorem Muffelmannem. Siedzieli nawet narodowi socjaliści, uznani przez nazistów za pierwszą opozycję wobec hitlerowców.

– W dokumentach znalazłem informację, że pośród esesmanów najgorszy był nadsztygar z kopalni węgla brunatnego, właściciel kopalni bazaltu z zachodnich Niemiec i dozorca z ogrodu zoologicznego.

– Nie pamiętam ich nazwisk. Stosowanych przez nich tortur i okrucieństw nie da się opisać. Każdego dnia trzeba było spodziewać się, jak zapowiadali, rozrywki. Jednemu kazali wieszać się na prześcieradle, drugiemu kroczyć przez korytarz w pozycji kaczej, trzeciemu wciskali do ręki nielegalną gazetę i natychmiast go torturowali. Drzwi do cel były bardzo często otwierane przez esesmanów o każdej porze. Z reguły po wojskowym zameldowaniu więzień był bity pięścią w twarz lub w brzuch. Warta zmieniała się co dwie godziny, a każdy strażnik musiał raz skontrolować więźniów. Skazaniec nie miał spokoju ani w dzień, ani w nocy.

– Dlaczego ludzie ludziom zgutowali ten los?

– Nigdy wcześniej nie pomyślałem, do czego jest zdolny człowiek tylko dlatego, że inny człowiek ma odmienne poglądy na zasadnicze kwestie w państwie. Poglądy, które przedstawia w imię wolności słowa, nic więcej. Nie sądziłem, że Niemiec w brunatnej koszuli może torturować Niemca w cywilnym ubraniu, bez powodu. Że siłą można wymusić posłuszeństwo. Jak trzeba być zezwierzęconym, żeby zadawać cierpienie człowiekowi, który niczego złego nie zrobił? Określenia podłość i bestialstwo nie oddają tego, co działo się za tamtymi murami.

– Dziennikarzom zaproszonym przez nazistów do Sonnenburga, aby na własne oczy zobaczyli, jak jest w obozie i porozmawiali z więźniami, tego Pan nie powiedział.

– Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli powiem prawdę, to po wyjeździe dziennikarzy będzie jeszcze gorzej, chociaż nie wyobrażałem sobie, co to znaczy jeszcze gorzej. W prasie ukazały się obrazki z Sonnenburga, między innymi rozmowa Amerykanina Huberta

Knickerbockera ze mną. Proszę, oto ta gazeta. Dziennikarz spytał, jak mi się powodzi w obozie. Dobrze, odpowiedziałem. „Jak traktują?” Dobrze. „Jakie jest jedzenie?” Dobrze. „Czy otrzymuje pan coś do czytania?” Tak. „Czy wolno panu przesłać książki?” Tak. „Czy chciałby pan otrzymać jakąś książkę?” Tak. Niemieckie średniowiecze.

– Po roku funkcjonowania, obóz koncentracyjny w Sonnenburgu został zlikwidowany w kwietniu 1934 roku.

– Na miejsce obozu wróciło ciężkie więzienie, jak tłumaczono zastraszonemu narodowi, dla notorycznych przestępców. W rzeczywistości więziono tam osoby niewygodne dla partii nazistowskiej i rządzących.

– Od lutego 1934 roku nie było Pana w Sonnenburgu.

– Moje nowe miejsce znajdowało się w obozie koncentracyjnym Papenburg–Esterwegen przy granicy z Holandią. Byłem już tak wyczerpany torturami, maltretowaniem, schorowany, że niewiele mogę powiedzieć o tym obozie. Na pewno dokuczała mi źle zrosnięta, złamana noga. Na pewno nie miałem zębów. I na pewno ciężko oddychałem tym przegniłym powietrzem. Człowiek w takich warunkach staje się obojętny. Nie czuje bólu. Nie myśli. Reaguje na polecenia jak zwierzę.

– Tam dotarła wiadomość o uhonorowaniu Pana Pokojową Nagrodą Nobla.

– Lepiej, abym jej nigdy nie otrzymał. Kiedy dotarła do Esterwegen wiadomość o przyznaniu mi tego wyróżnienia, komendant obozu zwołał apel na placu. Kazał mi wystąpić, potem jeden z esesmanów pędził mnie wzdłuż szeregów więźniów wołając: Padnij! Powstań! Jeśli zbyt długo podnosiłem się, to tłukł mnie pałką po plecach, po głowie, po rękach. Gdy wstałem i zrobiłem kilka kroków, podkładał mi nogę. Esesmani rechotali. Szeregi więźniów milczały.

– O spotkaniu z Panem wysłannik Czerwonego Krzyża powiedział: „Oficer SS powrócił z człowiekiem trzęsącym się ze strachu, bladym jak trup, biednym stworzeniem, które zdawało się niezdolne do odczuwania czegokolwiek. Wszystkie

jego zęby były wyłamane i ciągnął za sobą źle zrośniętą złamaną nogę. Podałem mu rękę. Nie odpowiedział.”

– Jedyną zmianą, jaka nastąpiła w moim życiu po przyznaniu Nagrody Nobla, było przewiezienie z obozu w Esterwegen na oddział pulmonologiczny szpitala w Berlinie. Na wyleczenie z gruźlicy już było za późno. Mimo to jestem wdzięczny społeczności międzynarodowej za pamięć.

– Dziękuję za poświęcony mi czas.

Niemieckie obozy pracy na Środkowym Nadodrzu

Poza obozem opisanym na poprzednich stronach na Środkowym Nadodrzu nie było żadnego samodzielnego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego.

Najpierw były tu obozy pracy, potem zamienione w filie Konzentrationslager Gross Rosen (pol. Rogoźnica koło Strzegomia) na Dolnym Śląsku:

Arbeitslager Guben (pol. Gubin, powiat krośnieński)

Podobóz kobiecy – założony w sierpniu 1944 r., zlikwidowany 28 lutego 1945 r. Wśród około 1000 kobiet najczęściej było węgierskich Żydówek, które pracowały w zakładzie radiowym Lorenz AG

Arbeitslager Halbau (pol. Hłowa, powiat żagański)

Podobóz męski – założony 15 lipca 1944, zlikwidowany 12 lutego 1945 r. Przebywało w nim około 1000 osób głównie Polaków, którzy pracowali w fabryce lotniczej Winklera przy produkcji skrzydeł do samolotów wojskowych

Arbeitslager Gassen (pol. Jasień, powiat żarski)

Podobóz męski – założony 15 sierpnia 1944, zlikwidowany 1 lutego 1945 r. Więziono w nim 700-1000 Polaków, Czechów, Rumunów, Francuzów, Włochów, którzy pracowali w fabryce lotniczej Flother-Werke

Arbeitslager Christianstadt (pol. Nowogród Bobrzański, w latach 1945-1946 Krystkowice, 1946-1988 Krzystkowice, powiat zielonogórski)

Podobóz kobiecy – założony w drugiej połowie 1944, zlikwidowany 2 lutego 1945 r. Więzione tam kobiety pracowały w zakładach chemicznych Dynamit AG

Arbeitslager Neusalz / Oder (pol. Nowa Sól)

Podobóz kobiecy – założony w lutym 1944, zlikwidowany 1 lutego 1945 r. Więźniarkami były Żydówki z Polski, Czech i Niemiec, które pracowały w fabryce nici Gruschwitz Textilwerke AG oraz w gospodarstwach rolnych

Arbeitslager Schertendorf (pol. Przylep koło Zielonej Góry)

Podobóz męski – założony jesienią 1944, zlikwidowany na początku 1945 r. Więźniami byli Żydzie z Węgier, którzy pracowali w fabryce wagonów Buchelt & Co w Zielonej Górze

Arbeitslager Schlesiersee I (pol. Sława, powiat wschowski)

Podobóz kobiecy – założony w październiku 1944, zlikwidowany 21 stycznia 1945 r. Więziono 500-1000 Żydówek polskich i węgierskich, które pracowały przy budowie umocnień w firmie Kraus i kopały rowy przeciwczołgowe

Arbeitslager Schlesiersee II (obóz zlokalizowany w Püirschkau, pol. Przybyszów koło Sławy, powiat wschowski)

Podobóz kobiecy – założony w październiku 1944, zlikwidowany 21 stycznia 1945 r. Wiezione Żydówki polskie i węgierskie pracowały przy budowie zapór przeciwczołgowych

Arbeitslager Grünberg I (pol. Zielona Góra)

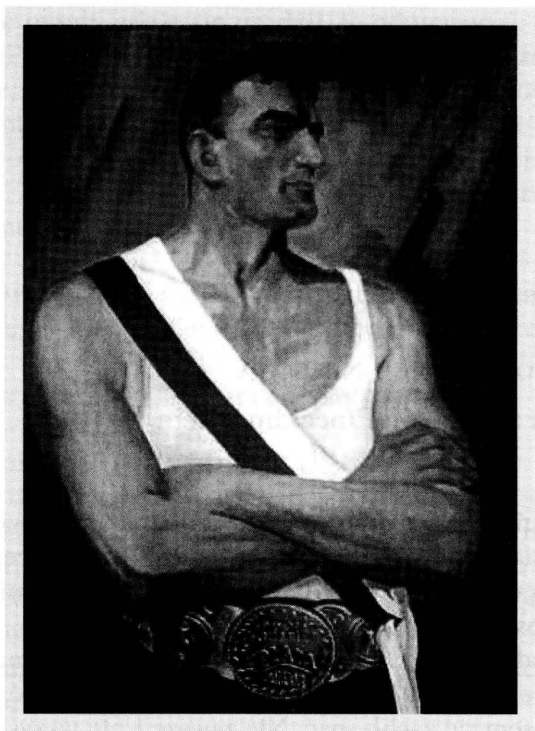
Podobóz kobiecy – założony w czerwcu 1944, zlikwidowany 29 stycznia 1945 r. Około 1000 Żydówek polskich i czeskich pracowało w fabryce włókienniczej Deutsche Wollwaren – Manufaktur GmbH

Arbeitslager Grünberg II

Podobóz męski – założony w październiku 1944, zlikwidowany 29 stycznia 1945 r. Żydzi węgierscy pracowali w fabryce włókienniczej Deutsche Wollwaren – Manufaktur GmbH

Podlegający gestapo obóz karny pracy wychowawczej Arbeitserziehungslager „Oderblick” znajdował się w Schwetig (pol. Świecko, powiat słubicki). Został założony w październiku 1940, zlikwidowany 31 stycznia 1945 r. Przebywało w nim około 4000 Polaków, Rosjan, Białorusinów, Niemców, zatrudnionych przy budowie autostrady, w żwirowni, w gospodarstwach rolnych i mniejszych fabrykach

Filia robocza więzienia w Słońsku pod nazwą Ausenareitsstelle d. Zuchthauses Sonnenburg istniała w Schwerin an der Warthe (pol. Skwierzyna, powiat międzyszycki). Powstała w 1940, została zlikwidowana na początku 1945 r. Jednorazowo przebywało w niej około 150 Polaków, Rosjan, Belgów, Francuzów i Holendrów. Więźniowie pracowali w fabryce amunicji i zakładzie naprawy taboru kolejowego.



*Leon Pinecki – portret pędzla Urszuli Religii
na podstawie podobizny atlety z 1929 r.*

Leon Stanisław Pinecki

Urodził się w 6 kwietnia 1892, zmarł 26 lipca 1949 r. w Sulęcinie. W 1895 r. wraz z rodzicami wrócił do Stołunia koło Pszczewa. W latach pierwszej wojny światowej służył w armii niemieckiej. W 1919 r. wyjechał do Berlina, gdzie pracował jako kelner, tam zetknął się z zapasami. Należał do Berliner Athleten-Klub. Uczestniczył w walkach zapaśniczych i pokazach w Europie i obu Amerykach. Badacze jego historii twierdzą, że był trzykrotnym mistrzem świata i pięciokrotnym mistrzem Europy. W 1930 r. kupił pensjonat w Łagow (pol. Łagów). Obywatelstwo polskie otrzymał w 1947 r. Jego grób jest na cmentarzu w Łagowie.

MISTRZ PODWÓJNEGO NELSONA

Rozmowa z Leonem Pineckim, atletą

– Mieszkańcy podpszczewskiego Stołunia postawili głaz z tablicą pamiątkową przed szkołą, w izbie przy remizie strażackiej zgromadzili sporo pamiątek. Stołunianie uważają Pana za swego najslawniejszego krajana.

– Jo jest jeden z tych wiejskich herosów, któremu udało się wyrwać z małego Stołunia, uznanie publiczności zdobyć, sławę i rozgłos, sukcesem się zachłysnąć. Nie zawsze i nie wszystko po mojej myśli się układało. Między zwycięstwami wiele porażek było, gorzkich porażek, na które jo nie był przygotowany. Najważniejsze jest to, że jo wykorzystał dar od Boga: siłę.

– Badacze życiorysu nie mogą ustalić miejsca, gdzie się Pan urodził.

– Z tym to i jo mam problem. Próbował, ale nie do końca się udało. Ustalił jo tyle, że w 1885 roku Jan Pinecki z Kuligowa z Katarzyną Jeszówną ze Stołunia się ożenił. W dwa lata po ślubie, jeszcze bezdzietni, za robotą w głąb Niemiec wyjechali. Gdzie dokładnie ojciec był murarzem, jo nie wiem. Jedno jest pewne: gdzieś w głębi Niemiec 6 kwietnia 1892 roku jo przyszedł na świat jako trzecie dziecko i pierwszy syn. Siostry Marysia i Martynia przede mną się urodziły.

– W publikowanych życiorysach Pana wymienia się Poznań jako miejsce urodzenia i rok 1897.

– Jak mnie pytali, gdzie się urodził, jo odpowiadał, że w Polsce. A gdzie w Polsce? W Poznaniu. Przecież nie powiem, że w Stołuniu, bo kto wie, gdzie leży Stołuń. Co innego Poznań, wielkie miasto. A lat jo sobie odjął już po drugiej wojnie, jak w Sulęcinnie się żenił. Metryki nie miał, to dwaj świadkowie podpisali to, co jo chciał, żeby podpisali. Żaden urzędnik nie pytał, czy to prawda. Były podpisy? Były. To znaczy: prawda.

– Kronikarze podają za gazetą poznańską, że mając dziesięć lat przysięgał Pan umierającej matce, że zawsze będzie Polakiem.

– Wyrażnie przesadzili. Zresztą nie pierwszy raz.

– Czy to nie było prawdą?

– Jo nawet dobrze twarzy matki nie pamiętam. Ojciec gadał, że chorowała na suchoty, po mojemu na cukrzycę. Gadał też, że do Stołunia wrócili dlatego, że matula chciała być pochowana koło swoich, a nie daleko w Niemczech. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 1895 roku matula umarła. Jo wtedy był trzy lata i dziesięć miesięcy stary. Czy dziecko w tym wieku zdaje sobie sprawę z tego, jakiej jest narodowości?

– Na jakiej podstawie twierdzi Pan, że matka chorowała na cukrzycę?

– Na podstawie mojego wyglądu. Jak już jo duży był i sławny, jeden doktor w Berlinie powiedział, że jest jo przykładem ofiary makroskomii. A co to znaczy, *herr Doktor*? Matki chore na cukrzycę rodzą gigantyczne dzieci, on tak do mnie. Czy jo nie jest przykładem giganta? Waga: 143 kila, wzrost: dwa metry i trzy centymetry, ręce długie, wielkie dłonie i stopy, zasięg ramion prawie dwa i pół metra.

– Ile więc jest prawdy w tym, że już jako sławny atleta przy każdej okazji podkreślał Pan swoje polskie pochodzenie?

– *Richtig*, sama prawda. Musi pan wiedzieć, że Stołuń to była taka sobie wioska, coś prawie sześćset ludzi. Nie wszyscy, ale większość co niedziela szli na mszę do naszego kościoła, to znaczy do katolickiego. Niemców było mniej, oni do swojej kirchy chodzili. Żydów musi dwóch było, pobożni, w Pszczewie przy Meseritzerstrasse mieli

swoją bożnicę. Kto za katolika się uważał, ten ino po polsku szprechał, po polsku śpiewał, po polsku kłął, w piątek pościł. To mnie na całe życie zostało.

– Idąc uliczką w Pszczewie czuł Pan, że to już niepolskie miasto?

– Pszczew stał się niemiecki dopiero za Fryderyka Wielkiego, po pierwszym rozbiórce Polski. Niemiecki był wedle administracji w Berlinie. My za Polaków się uważali. Tak samo Piotrowskie, Czeranianiny, Napieraje, Kałki, Stefaniaki, Dzikie... Był w Pszczewie polski Bank Ludowy? Był. Towarzystwo Robotników Polskich było? Było. Mój ojciec do niego należał i coś pół setki chłopów z samego Pszczewa i z Szarcza, i z Zielomyśla, no i z naszego Stołunia. Byli takie, co w Polakach, którzy nie znali niemieckiej mowy, widzieli wrogów, oni gadali *Wer polnisch spricht, ist unser Feind* (Kto rozmawia po polsku, jest naszym wrogiem).

– Historyk z lubelskiego uniwersytetu Kazimierz Parafianowicz twierdzi, że jako chłopiec pomagał Pan ojcu na budowach. Gdy jedni potrafili podnieść osiem cegieł, Pan podnosił trzy razy więcej.

– Po śmierci matuli siostra i ja bylimy małe, to ojciec ożenił się z taką jedną wdową. Nie powiem, żeby jeść nam nie dawała albo do roboty ponad nasze siły pędziła, co to, to nie, dobra była, tyła że macocha. Rodzona matula to szmatą po głowie zdzieli, ale i przytuli, i... Jak ja podrosłem, ojciec brał mnie na murarkę, żeby jemu cegły podawać. Siły ja miał za trzech to i nosił cegły za trzech.

– Mieszkańcy Stołunia powtarzają, że gdy do wsi przyjechała wędrowna trupa cyrkowa, na placu przed karczmą zmierzył się Pan z siłaczem i, oczywiście, go pokonał. Za wygrane pieniądze kupił Pan miejscowym dzieciom cukierki.

– W jakiejś gazecie napisali, że wtedy ja wziął po pięć dzieciaków na każdą rękę i do sklepu przez całą wieś je niósł. Legenda. Tak samo jak i to, że macocha pół kopy jaj mnie smażyła. Za pół kopy jaj, jak ona je do Żyda zaniósła, miała na dwa bochenki białego chleba. Albo że ja łańcuchy krowie rwał, podkowy łamał... To nie mogła być prawda.

– A prawdą jest, że w czasie pierwszej wojny światowej służył Pan w niemieckiej armii? Że walczył pod Verdun? Że był trzykrotnie ranny? I że dosłużył się stopnia sierżanta?

– Panie, ja był obywatel niemiecki to i musiał do armii niemieckiej iść. Albo armia, albo więzienie, innego wyjścia nie było. Czy walczył ja pod Verdun?... Możliwe. Ranny to był nie trzy, a więcej razy, tyła że po wierzchu. I *feldwebel* ja był. I jakiś krzyż mnie dali. Prawie wszystkim dawali, to czemu mnie mieli ominąć? Nawet do związku kombatanatów mnie zapisali. Wszystkich, którzy wojnę przeżyli, zapisywali.

– Po przegranej przez Niemcy pierwszej wojnie światowej wrócił Pan do Stołunia i przyłączył się do powstańców?

– W 1919 roku ja był dwadzieścia siedem lat stary. I karlus. Żenie się trzeba, Leon. Która panna zechce karlusa bez pola? Ziemi mój ojciec miał tyła co brudu za paznokciami. To i za robotą ja pojechał do Berlina. Trochę tu, trochę tam, aż August Bryła, który aranżował walki atletyczne powiedział, że kto w rękach ma taką siłę, może nieźle zarbić. Ja poszedł do Berliner Athleten – Klub, a im na mój widok aż się gęby pootwierały. Jak oni mnie bajtlowali, jak... Rok po tym pierwszy raz ja wystąpił na macie, to w Hamburgu było, prawdziwe zapasy. A ile marek. Wtedy ja zrozumiał, jakie to szczęście taką siłę mieć.

– Kronikarze piszą, że miał Pan ogromne powodzenie u kobiet.

– (śmiech) Gdyby tylko u panien... u mężatek jeszcze większe. Jedna najpierw dała mi robotę w swojej restauracji, za kelnera byłem. Śmiała się, że lepszej reklamy nie trzeba, jak dwumetrowy ober niesie gościowi Zelter. Wtedy wszyscy na niego się gapią, a potem co popadnie zamawiają i jeśli nawet im nie smakuje, cicho siedzą. Ona tak mnie bajtlowała, tak dogadzała, że ja ożenił się z jej córką. W 1922 roku Harry się nam urodził. Trochę jak ja był, ale już takiej siły nie miał.

– Czy będąc kelnerem w restauracji swojej teściowej nadal występował Pan na matach zapaśniczych?

– W tamtym czasie zapaśnicy walczyli wedle reguł francuskich. Liczba chwytów niewielka była. Do najbardziej skutecznych należał chwyt

zwany podwójnym nelsonem. Kto chwycił przeciwnika z tyłu, unieruchomił jego ramiona i przycisnął jego głowę do dołu, bez trudu wygrywał. Jo długaśne ramiona miał, to i na każdego mógł założyć prawie żelazną obręcz. Prawda taka była: jak mnie się udało chwycić przeciwnika od tyłu, podwójny nelson murowany. W gazetach pisali o mnie: mistrz podwójnego nelsona.

– Kronikarze podają, że najbardziej skutecznymi zapaśnikami byli Turcy, Niemcy i Polacy. Przedstawiciele tych narodów najczęściej wygrywali zawody.

– Turcy za wysocy nie byli, ale taką budowę ciała mieli, że trudno ich było pokonać. Co do Niemców i Polaków... Jo powiem tak: o pieniądze chodziło. O wielkie pieniądze, jakie można było zarobić. Jo jako zawodnik, powiedzmy, za każdy występ na macie dwadzieścia marek dostawał, mój menedżer dziesięć razy więcej brał do kieszeni. Gdzie tyle płacili? A ludzie walili oknami i drzwiami. Podziwiali nas, nie zdając sobie sprawy z tego, że niektóre walki są ustawiane pod publikę.

– Co to znaczy: ustawiane?

– Jak nas było dwóch na pokazie, to umawialiśmy się tak: dziś ty wygrywasz, jo jutro. Pieniędźmi dzielimy się po równo. Publika lubiła, oj lubiła te nasze zawody. W tym czasie w Polsce głośno było o takich siłaczach jak Władysław Pytłasiński, Aleksander Garkowienko, Zbyszko I i Zbyszko II Cyganiewiczowie.

– To nie były zapasy sportowe. To był cyrk.

– Ma pan rację. Często to był cyrk. Nie każdy siłacz mógł się dostać do cyrku braci Staniewskich przy Ordynackiej w Warszawie. Trzeba było mieć siłę syna żydowskiego kowala, Zygmunta Breitbarta, i jako on podkowy w rekach gnać, rozrywać łańcuchy. Wspomniałem o Cyganiewiczach, że jeden był Zbyszko I, drugi Zbyszko II. Po co te pseudonimy? A po to, żeby wabić publikę. Pytłasiński zdobywał tytuły zapaśniczego mistrza Polski, ale za to nie dostawał pieniędzy, to występował w cyrku Cinizellego. Na arenie najślawniejszego w Berlinie cyrku Buscha popisywał się starszy z Cyganiewiczów.

– Czy Pan też występował w cyrku?

– Takich siłaczy jak ja wielu było. Oprócz wagi, wzrostu, rozpiętości ramion czymś jeszcze trzeba było publikę zaskoczyć. Jak w Polsce występował to spiker zawsze mówił, że ja przyjechał z Berlina, ale w moich żyłach polska krew płynie, bo moja matula Polką była, ojciec Polakiem. Tak się złożyło, że moja rodzinna wieś teraz jest za niemiecką granicą.

– **Zawsze sale były wypełnione widzami?**

– Zimą sale, restauracje, latem to i teatrzyki, parki, nawet place w centrach miast. Pamiętam ogród Resursy Kupieckiej w Bydgoszczy. Ani jednego wolnego miejsca na widowni. Już podczas prezentacji zawodników owacje na stojąco. „Leonek, oddaj mu! Nie daj się!” Nie pamiętam kto był moim przeciwnikiem, pewnie jakiś Niemiec. Może nawet sam Fritz Schäfer albo Kurt Hornfischer stanął na macie na wprost mnie. Wcześniej za kulisami ustawiliśmy tę walkę tak, że gdzie jak gdzie, ale w Bydgoszczy ja muszę wygrać. Za to w Berlinie ty. I na dokładkę w Hamburgu.

– **Pod jakim nazwiskiem Pan występował?**

– W Polsce Leon Stanisław Pinecki, w Niemczech: Leo Pinetzky.

– **Miał Pan pseudonim?**

– Każdy, kto występował na matach cyrkowych, był przedstawiony pseudonimem. Spiker mówił, na przykład, Olbrzym znad Renu będzie walczył z Strasznyim Prowansalczykiem albo „Mocarny Syn Polski” z „Mistrzem Podwójnego Nelsona”. To ze mną.

– **W 1932 roku prasa bulwarowa zamieściła zdjęcie z tournée po Ameryce Południowej, na którym przewrócił Pan słonicę Dziką Różyczkę.**

– Kolejny popis dla reklamy. Jak się w gazecie pokaże takie zdjęcie, to publika nie pyta, czy to trick, czy prawda.

– **To był trick?**

– Nie, prawda. Długo, oj długo mnie namawiali. W końcu położyli walizkę pieniędzy. Przewrócisz Dziką Różyczkę, gadali, co do centa dolary twoje będą. Jak tak, to czemu nie, popróbować można, przecież nic nie stracę. Oburącz ja objął prawą nogę słonicy i mocno się

zapał. Jak szarpnął, Dzika Różyczka straciła równowagę i się przewróciła.

– Często zdarzały się podobne popisy?

– Bywało, że ktoś płacił za występ tylko dlatego, bo we mnie nie wierzył. Nie pamiętam, gdzie to było, pewnie koło Hamburga. Podniesiesz tę łódź? Pokazują na wielką łajbę, taką, co to i czterech chłopów miałoby co dźwigać. Potem w gazecie było, że wielki siłacz podniósł łódź jakby to był kajacek.

– Popisywał się Pan w Ameryce Południowej. A w Ameryce Północnej...?

– W 1931 roku pierwszy raz jo tam pojechał. I dopiero tam przekonał się, jaka jest potęga prasy. Teksty w gazetach bulwarowych były tak napisane, aby jak najwięcej ludzi na widowni było. Im więcej ludzi, tym więcej dolarów. W Europie niektóre walki ustawiane były. Niektóre. W Ameryce trudno było o walkę bez wcześniejszej umowy. Impresario gadał: teraz on wygrywa. Ty zaś jutro. Dolary macie takie same. Raz, tylko jeden raz, za przeciwnika jo miał mistrza nad mistrze, Wasyla Żeleźniaka. Nie spodziewali się, że jo go pokonam i dlatego nie ustawili walki. W trzeciej minucie jo powalił Żeleźniaka. Co się tam działo... Potem jo pokonał Johna Jonesa, który zwyciężył Raya Steela, a Steel był zapaśnikiem pierwszej rangi. W Stanach jo stawał na macie z pół setki razy, nie wszystkie walki wygrał, bo nie musiał, za to nieźle zarobił, ale Jeszcze Fehringera położył na łopatki. Rocbucka też. Był jo w Ameryce jeszcze dwa razy.

– Z Ameryki wysłał Pan korespondencję do *Międzyrzeckiej Gazety Prowincjonalnej* twierdząc, że jeszcze wiele musi się nauczyć.

– W Ameryce zapasy miały inny charakter jak w Europie. Tamtejsze zawody często nie były pokazem przewagi mięśni jednego człowieka nad drugim, a zwyczajnym mordobiciem. Jak twarze zawodników krwią ociekały, publika dopiero szalała. To się nazywał styl wolnoamerykański, nie lubiany przez atletów europejskich.

– Rok 1930 był w Pana karierze chyba najbardziej owocny.

– Wtedy doświadczenie jo miał i wiek akuratny. Pojechał do cze-skiej Pragi na Puchar Państw Słowiańskich i wygrał. U siebie Złoty Pas Miasta Berlina zdobył.

– Na nagrobku na łagowskim cmentarzu jest mowa o tym, że był Pan trzykrotnym mistrzem świata i pięciokrotnym mistrzem Europy. W dostępnych książkach o sukcesach polskich zapaśników nie spotkałem Pana nazwiska.

– Na początku XX wieku zapasy dopiero stawały się dyscypliną sportową, chociaż już w starożytności były uprawiane. Właśnie na początku XX wieku tej dyscyplinie wiele krzywdy wyrządzono, umieszczając je w programach prawie każdego cyrku. Mistrzostwa, w których jo zdobywał tytuły, czasem coś z cyrku miały. Ktoś plakat drukował, sprzedawał bilety, zapraszał zapaśników z różnych państw i im klarował, że to mistrzostwa świata czy Europy. Na jedne zawo-dy kilkunastu zapaśników przyjeżdżało, na inne kilku. Na mój ro-zum powinno się brać pod uwagę jedynie te tytuły mistrzowskie, które atleci zdobywali na zawodach organizowanych przez między-narodową federację zapaśniczą. Ale, przyznając się, jak każdy jo lu-bił, żeby mnie chwalono, podziwiano. Mistrz zawodów w powiecie to przecież też mistrz.

– Profesor Piotr Godlewski twierdzi, że nie spotkał Pana na-zwiska wśród uczestników mistrzostw świata atletów zawo-dowych. Owszem, uczestniczyli w nich atleci o polskich na-zwiskach, na przykład, Adolf Kurz, Paul Suchanek i The-odor Pilawski jako reprezentanci Niemiec czy Konkowsky z Austrii.

– Jakoś tak wyszło... W 1927 roku jo brał udział w nieoficjalnych mi-strzostwach Europy w Warszawie...

– To wtedy Teodor Sztekker pokonał Pana w finale? A nie-długo po tym znowu Pan przegrał ze Sztekkerem w berliń-skiej Sportpalast na olimpiadzie zawodowych atletów?

– Człowiek był raz na wozie, raz pod wozem. Takie czasy.

– A prawda to, że od 1935 roku w reprezentacji Niemiec nie mogli występować zawodnicy obcego pochodzenia?

– Prawda, tyła że zarządzanie sobie, a życie sobie. Za granicą, jak były zawody, jo nie mówił, jakiej jest narodowości. W Niemczech mniej jo występował, za to dużo był w Polsce, w cyrku, na festynach ogródkowych, na świętach rozmaitych. Pieniędzy mnie nie brakowało.

– Miał więc rację Julian Malicki zamieszczając w *Przeglądzie Sportowym* taki tekst: „Arbiter wydaje się być nam reżyserem, superarbiter – głównym zastępcą reżysera, sędziowie – inspijcentami, a biorący udział zapaśnicy mniej lub więcej zdolnymi komedianami”?

– Sport zapaśniczy to był czysty sport. Co innego atletyka cyrkowa. Walki na arenie w cyrku miały coś z wyreżyserowanego spektaklu. Organizował je dyrektor cyrku albo jego impresario lub sekundanci francuscy... A jak na macie pojawił się czarnoskóry atleta, dopiero wtedy widowisko zyskiwało na popularności.

– Popisy na matach były Pana sposobem na życie, a uzyskiwane w ten sposób pieniądze źródłem utrzymania. Dużo Pan zarabiał?

– Dużo, bardzo dużo. Moim marzeniem było mieć pensjonat. Jo zdawał sobie sprawę z tego, że kiedyś opadnę z sił, że mój genetyczny gigantyzm nie jest normalny. Muszę się zabezpieczyć na stare lata, tym bardziej że z żoną nie układało się dobrze. W 1930 roku jo kupił pensjonat Am See przy głównej ulicy nad samym jeziorem w Łagowie, skąd do Berlina niedaleko, a jeszcze bliżej do Pszczewa i Stołunia. W jednej sali na piętrze, przed wejściem do restauracji, ustawił te wszystkie puchary, jakie zdobył na mistrzostwach świata i Europy, wszystkie dyplomy i medale, zdjęcia. Na gościach to robiło wrażenie.

– Historyk z Lublina twierdzi, że podczas polskich świąt na pensjonacie łopotąła flaga biało-czerwona.

– Na początku jo wywieszał polski sztandar. Wtedy można było wywiesić co się chciało. Jak naziści do władzy doszli, było to zakazane. Za Hitlera ludzie nauczyli się mówić tylko co trzeba, a może nawet mniej.

– Czy należał Pan do pruskiego związku kombatanatów, a potem do SA, ze względu na kolor ubioru bojówki bardziej znanej jako brunatne koszule?

– Wszystkich kombatanatów naziści zapisali do Sturmabteilung. W ankiecie pytanie o pochodzenie było, ja napisałem: *polisch*. To zwrócili ankietę i kazali się dobrze zastanowić. Potem mieli mnie na oku i co rusz przychodzili do pensjonatu. Jednego razu zawieźli mnie na policję do Świebodzina, żeby ja się wytłumaczył, dlaczego portret Hitlera nie wisi na reprezentacyjnym miejscu w pensjonacie.

– Dlaczego w czasie drugiej wojny światowej Niemcy nie wcielili Pana do swego wojska?

– Gadali, co po polsku szprecham to będę policjantem gdzieś w Generalnym Gubernatorstwie. Ja odmówił, a do Wehrmachtu mnie nie chcieli, bom polskie pochodzenie miał. Dopiero pod koniec wojny, jak alianckie samoloty zbombardowały Drezno, Hamburg, Stuttgart... przymusowo mnie zabrali do odgruzowywania Poczdamu.

– Krystyna Kamińska powtarza po Parafianowiczu, że runęła ściana, ale wy dostał się Pan spod gruzów.

– Jeszcze jedna legenda. Wcześniej, jak wychodziłem na maty, takie legendy były potrzebne, ale w czasie wojny...? Prawdą jest, że w Poczdamie jakoś tak nieszczęśliwie ja stąpnął, że nogę złamał. Alianci zrzucaли bomby, Ruskie byli nad Odrą, szpitale pełne rannych, lekarzy brak, a ci co zostali, nie mieli czasu na zajmowanie się cywilami to i byle jak nogę mi złożyli. Zrosła się, ale po wojnie trochę ja kuśtykał.

– Kiedy wrócił Pan do Łagowa?

– Zaraz w 1945 roku. Jeszcze nie było wiadomo, czy tu Niemcy będą, czy Polska. Ja na swoje chciał. A tu, panie, gadają, że teraz Polska. Hurra, Polska! Nie dla ciebie ta Polska. Jak ty przed wojną pensjonat w Łagowie miał to ty Niemiec jest. Zajrzeli w papiery pensjonatu, a tam moje nazwisko po niemiecku było. Leon Pinetzky... Do Berlina ja wrócił rady szukać. Ktoś mnie powiedział: Leon, musisz napisać podanie o przyznanie polskiego obywatelstwa. Ino po polsku napisz i bez błędów. Łatwo powiedzieć, ale jak napisać po polsku

bez błędów? Pomógł jeden pan z misji wojskowej, co przed wojną podziwiał mnie na matach w Warszawie.

– Jako atleta obnosił się Pan ze swoim polskim pochodzeniem, a w 1945 roku nie umiał wyrazić tego na papierze?

– Jo jemu powiedział, jak u nas było. On napisał tak. „U nas w domu, dopóki matka żyła, rozmawiano wyłącznie po polsku, a dzieci, kiedy była ona już na łożu śmierci, przyrzekły jej, że nigdy nie wyrzekną się mowy polskiej”. On dodał, że w 1935 roku jo rozwiódł się z pierwszą żoną, która była Austriaczką. Już wcześniej chciał się starać o polskie obywatelstwo, ale ona była temu przeciwna. Na matach całego świata, gdzie jo występował, zawsze spiker podkreślał moje polskie pochodzenie. Trudno wyjaśnić było, dlaczego jo nazywał się Leo Pinetzky, a nie Leon Pinecki. Dwa lata na odpowiedź czekał. I jak w 1947 roku dostał polskie obywatelstwo, zaraz przyjechał do Łagowa.

– W jakim stanie zastał Pan hotel?

– Drzwi pootwierane, po pokojach wiatr hula, ani stołów, ani krzeseł, ani łóżek, nawet obrazków na ścianach nie ma. Najpierw jo poszedł do urzędu, papiery pokazał i powiedział, że na swoje muszę wrócić. Polak? Autochton? Takich nam tu trzeba. Od domu do domu z jednym urzędnikiem jo chodził i co moje zabierał. Ludzie oddawali, bo urzędnik był, ale niechętnie. Po polsku jo nie za dobrze szprechał, to za Niemca mnie brali. Dopiero jak jo wszystko poznał do pensjonatu, jak pokazał na wystawie te może sto medali, albumy z wycinkami z gazet, ze zdjęciami, puchary. I tam, żeby swoje polskie pochodzenie udowodnić, jo pierwszy raz powiedział, że urodził się w Poznaniu, w 1897 roku.

– Czy jako mieszkaniec polskiego Łagowa nadal występował Pan na matach?

– Chyba było to 1 września 1947 roku, w Kępnie. Potem były walki w Legnicy, Jeleniej Górze, Wolsztynie, w 1949 roku w Sulęcinie.

– W Sulęcinie?

– Jo poznał Helenę Sokołowską, co restaurację w Sulęcinie miała. Ona była wdową z powstania warszawskiego, do Sulęcina przyjechała

za namową swego brata Stanisława, który był wiceburmistrzem miasta. Jak w 1948 roku jo się z nią ożenił, namówiła mnie, Stacho też, żeby do Sulęcina zaprosić Antoniego Skrobisza i innych atletów i pokazać ludziom, jak się walczy. Pewnie to były pierwsze i jedyne takie zawody w Sulęcinie.

– Dziękuję za rozmowę.

Lubuscy medaliści olimpijscy

Sportowcy ze Środkowego Nadodrza po raz pierwszy reprezentowali Polskę na Igrzyskach Olimpijskich w Tokio w 1974 r. Oto ci spośród Lubuszan, którzy zdobyli medale olimpijskie.

Maciej Czyżowicz (ur. 1962 r., Lumel Drzonków Zielona Góra) – złoty medal wspólnie z drużyną w pięcioboju nowoczesnym w 1992 r. w Barcelonie, wynikiem 16.018 punktów

Dariusz Goździak (ur. 1962 r., Lumel Drzonków Zielona Góra) – złoty medal wspólnie z drużyną w pięcioboju nowoczesnym w 1992 r. w Barcelonie, wynikiem 16.018 punktów

Michał Jeliński (ur. 1980 r., AZS AWF Gorzów Wlkp.) – złoty medal w wioślarskiej czwórce podwójnej w 2008 r. w Pekinie

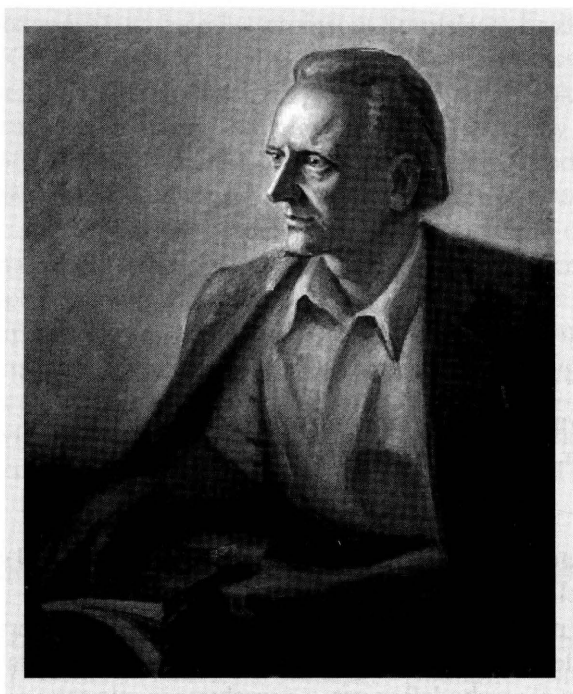
Małgorzata Książkiewicz-Kubka (ur. 1967 r., Gwardia Zielona Góra) – brązowy medal w strzelaniu z karabinka małokalibrowego 3 x 20 metrów, z trzech postaw, na 50 m w 1992 r. w Barcelonie, wynikiem 681,5 punktu

Tomasz Kucharski (ur. 1974, AZS AWF Gorzów Wlkp.) – złoty medal w wioślarskiej dwójce wagi lekkiej w 2000 r. w Sydney i złoty medal w wyścigu wioślarskim dwójek podwójnych w 2004 r. w Atenach

Aneta Pastuszka (ur. 1978, MKKS Gorzów Wlkp.) – brązowy medal w wyścigu kajakarek K2 na 500 m w 2000 r. w Sydney i brązowy medal w wyścigu kajakarek K2 na 500 m w 2004 r. w Atenach

Arkadiusz Skrzypaszek (ur. 1962 r., Lumel Drzonków Zielona Góra) – złoty medal w pięcioboju nowoczesnym w 1992 r. w Barcelonie, wynikiem 5559 punktów, i złoty medal wspólnie z drużyną pięcioboistów, wynikiem 16.018 punktów

Beata Sokołowska-Kulesza (ur. 1974, MKKS Gorzów Wlkp.) – brązowy medal w wyścigu kajakarek K2 na 500 m w 2000 r. w Sydney i brązowy medal w wyścigu kajakarek K2 na 500 m w 2004 r. w Atenach



Eugeniusz Pauksza – portret pędzla Ignacego Klukowskiego, 1953 r. – kopia wykonana przez M. Małowickiego w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze

Eugeniusz Pauksza

Urodził się 9 sierpnia 1916 w Wilnie, zmarł 21 maja 1979 r. w Inowrocławiu. Studiował prawo na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie oraz filologię polską i historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W latach okupacji należał do Armii Krajowej, był więźniem obozu koncentracyjnego Prowianiszki koło Kowna. W 1945 r. zamieszkał w Gliwicach, w 1947 przeniósł się do Poznania. W leśniczówce Linie koło Kargowej tworzył powieści historyczne i współczesne o ziemiach zachodnich. Spod jego pióra wyszły m.in. *Wszystkie barwy codzienności*, *Pogranicze*, *Znak żółtwa*, *Czarownica z Zielonej Góry*.

BRZEMIEŃ GNIAZD UTRACONYCH I ODZYSKANYCH

**Rozmowa z Eugeniuszem Pauksztą,
pisarzem, publicystą, znawcą historii**

– Dlaczego niemiecki Landsberg an der Warthe stał się Gorzowem Wielkopolskim?

– Gdy do miasta nad Wartą za frontem przyjechali pierwsi Polacy, nie wiedzieli, jak je nazwać, żeby nazwa dobrze brzmiała po polsku. Landsberg nie wchodził w grę, a przetłumaczenie tego metodą kalki językowej było prawie niemożliwe. Ze studiów pamiętam, że miejscowości położone na pograniczach często miały podwójne nazwy. Leżący na Śląsku Opolskim Landsberg in Oberschlesien przez Polaków był nazywany Gorzowem Śląskim. Poszukujący nazwy dla miasta nad Wartą sięgnęli więc do tego wzoru.

– Gorzowski historyk Jerzy Zysnarski podaje, że natknął się na informację z końca XVIII wieku jakoby Santok leżał na zachód od Górzewa, czyli Landsberga.

– Geografowie lwowscy nazywali Landsberg na der Warthe Gorzewem, a poznańscy Kobylą Górą. Wracając do miasta na Śląsku Opolskim to profesor Kazimierz Rymut uważał, że jego nazwa pochodzi od osoby o nazwisku lub imieniu Gorz. Znane są imiona złożone typu Gorzysław.

– Gorzew... może być. Skąd Kobyla Góra?

– Wedle poznańskiego księdza profesora Stanisława Kozierowskiego Kobyla Góra była osadą zanim 2 lipca 1257 roku powstało lokacyjne miasto Landsberch Nova. Skąd profesor Kozierowski zaczerpnął tę informację, nie wiem. Nie chce mi się wierzyć, aby wcześniej istniało grodzisko Kobyla Góra tuż obok znaczącego grodu Santok. Józef Mitkowski w wydanej w 1950 roku książce *Ziemia Lubuska* napisał, że „był to jeden z grodów santockiego systemu obronnego położony na zakolu Warty, wzmocniony gródkami na skraju wyżyny, stąd pierwotna nazwa Kobyla Góra”. W marcu 1945 roku ukazała się mapa kolejowa właśnie z taką nazwą. Na datowniku pocztowym z maja widnieje Kobylagóra. Jestem przekonany, że nazwa ta pojawiła się w wyniku decyzji Komisji dla spraw Przywrócenia Nazw Słowiańskich na Przyodrze, która zebrała się 7 kwietnia 1945 roku w Poznaniu pod przewodnictwem księdza profesora Kozierowskiego.

– Kiedy Landsberg an der Warthe stał się Gorzowem Wielkopolskim?

– Najpierw był Gorzowem nad Wartą. Taką nazwę spotkałem w przedwojennym *Leksykonie Polactwa w Niemczech* Edmunda Osmańczyka. Jakie uwagi do tej nazwy miała rządowa Komisja Ustalania Nazw Miejscowości pod przewodnictwem geografa profesora Stanisława Srokowskiego, która rozpoczęła pracę dopiero 2 marca 1946 roku, nigdzie nie znalazłem. Komisja zaproponowała ministrom administracji publicznej i ziem odzyskanych, aby Landsberg an der Warthe został Gorzowem Wielkopolskim. Ta nazwa zaczęła obowiązywać od 7 maja 1946 roku.

– Czy uważa Pan, że dobrym pomysłem było ustalenie nazwy dwuczłonowej, składającej się z rzeczownika i przymiotnika, mylnie informującej, że miasto leży w Wielkopolsce?

– Gorzów w 1946 roku wprawdzie był już miastem biskupim, ale zamieszkałym przez niespełna 20 tysięcy osób. W Warszawie, Łodzi, Krakowie – miastem nieznanym. Dla odróżnienia go od Gorzowa Śląskiego komisja nazewnicza zaproponowała drugi człon nazwy. Nie uważam, aby przymiotnik Wielkopolski w nazwie był najlepszy. Gorzów Lubuski? W 1946 roku chyba było za wcześnie, chociaż niebawem powstała w Gorzowie ekspozytura Urzędu Wojewódzkiego

Poznańskiego dla powiatów Ziemi Lubuskiej. Najlepszy byłby drugi człon: nad Wartą. Tak, Gorzów nad Wartą... Dziś przymiotnik Wielkopolski w nazwie miasta największego na Środkowym Nadodrzu, w województwie lubuskim, gdzie siedzibę ma wojewoda lubuski, dziwi i poniekąd śmieszy. Dlatego jestem za odrzuceniem drugiej części tej nazwy, ale decyzja należy do mieszkańców miasta.

– Dlaczego niemiecki Grünberg nie jest Zieloną Górą, tylko Zieloną Górą?

– W pierwszym dokumentach sporządzanych zaraz po wojnie była forma: Zielonagóra. Widziałem nawet mapę Polski w nowych granicach z takim zapisem nazwy miasta. Neusaltz też próbowano pisać jako Nowasól. Porządek wprowadziła ta sama komisja nazewnicza, która ustaliła nazwę Gorzowa Wielkopolskiego.

– Jeszcze na początku 1946 roku Żary były Żurawiem lub Żórawiem.

– Niemiecka nazwa tego miasta brzmiała Sorau, dolnołużycka, bo Żary leżą na Dolnych Łużycach, Żarow. Ktoś więc spośród pierwszych administratorów, nie znając języka dolnołużyckiego, uznał, że miasto będzie się nazywało jak ptak. Wyszedł potworek językowy, zresztą takich przypadków było więcej.

– Położone również na Łużycach Lubsko też miało inną nazwę w 1945 roku.

– Po niemiecku nazywało się Sommerfeld. Prawdopodobnie były również starsze nazwy grodu nad Lubszą, słyszałem takie jak Żemrje, Zemsz, Zemno. Po dolnołużycku miasto nazywało się Żemr. Co ciekawe, na początku XIX wieku polski filolog Andrzej Kucharski zbierał tu materiał lingwistyczny i etnograficzny. Został po nim zbiór pieśni, na marginesie jednej, która mówi o ukochanym na rynku w Lubsku, pozostał dopisek: „Sommerfeld, w Żemru ne ma teraz Serbow”, czyli Łużyczan. Już na początku XIX wieku to słowiańskie miasto było zgermanizowane. Polacy, którzy przyjechali tu na początku 1945 roku posługiwali się wieloma nazwami, oprócz spolszczonego określenia Zomerfeld mówili: Zemrin, Zembr, Zems, Zemsz, Zemrz, Zemż. Jak w odniesieniu do Gorzowa Wielkopolskiego, Zielonej Góry, Nowej Soli decyzja należała do wspomnianej już

rządowej komisji nazewnicznej. Ponieważ przez miasto przepływa Lubsza, nazwano je Lubskiem, bez historycznego uzasadnienia. Gdyby mnie spytano, zaproponowałbym nazwę Raków, jak Kraków.

– **Dlaczego Raków?**

– Tu się urodził najsławniejszy łżycki poeta i humanista Jan Rak (1457-1520), wykładowca wielu uniwersytetów europejskich, m.in. w Krakowie, Wittenberdze.

– Lubsko, Lubniewice, Lubrza, Lubiszyn, Lubanice, Lubartów, Lubów, Lubień, Lubiechnia Wielka i Lubiechnia Mała, Lubiechów, Lubinicko, Lubnica, Lubno, Lubogóra, Lubogoszcz, Luboszyce, Lubomysł, trzy Lubiatory... dlaczego aż tyle miejscowości na Środkowym Nadodrzu ma ten sam początek nazwy?

– Powołam się na profesora Stanisława Rosponda, który twierdził, że wyjaśnienia należy szukać w krajobrazie Ziemi Lubuskiej. Jest on nizinny, z dużą ilością jezior i gęstą siecią rzek. Taka produktywność nazw miejscowych wzięła się od starosłowiańskiego *leubh*, *laubh*, co oznacza: lubić, kochać, ale w znaczeniu topograficznym. Nazwy te więc oznaczają bliski sercu teren podmokły, gdzie rośnie gęsta, twarda trawa. Ziemia Lubuska wzięła swoją nazwę od leżącego na zachodnim brzegu Odry Lubusza, po niemiecku nazywanego Leubus lub Lubus. Plemię Lubuszan: Leubusi, Leubuzzi też zostało określone od charakteru fizjograficznego tej ziemi.

– **Zaczął Pan mówić o germanizacji nazw miejscowości na tej ziemi.**

– Germanizacja trwała tu od czasów Bolesława Rogatki, który zastawił Ziemię Lubuską arcybiskupowi magdeburskiemu Wilbrandtowi, a ponieważ nie miał jej za co odkupić, ten sprzedał nabytek margrabiom brandenburskim Janowi I i Ottonowi II. Potem powstała Nowa Marchia... Nasilenie germanizacji obserwujemy od połowy XVIII wieku do wybuchu II wojny światowej. Niech pan sobie wyobrazi, że w XIX wieku 40 procent mieszkańców powiatu zielonogórskiego mówiło po polsku. Dlatego w 1848 roku władze pruskie na podstawie decyzji administracyjnej zamknęły polski kościół w Grünbergu. Po I wojnie światowej i decyzji traktatu

wersalskiego, na mocy którego wiele polskich miejscowości wokół Babimostu, Międzyrzecza, Skwierzyny zostało po stronie niemieckiej, germanizacja miała charakter powszechny. Prawdę mówiąc to w republice weimarskiej zmieniano nazwy słowiańskie, lecz nie robiono tego masowo. Dopiero po dojściu do władzy partii nazistowskiej, zaczęła się powszechna germanizacja, mimo że istniał Związek Polaków w Niemczech.

– Jaki sens miało znęcanie się nad nazwami miejscowości?

– A taki, proszę szanownego pana, aby zatrzeć ich pierwotne brzmienie, najczęściej polskie lub łużyckie. Leżący niedaleko Grünberga Polnisch Kessel (Polski Kisielin) od 1937 roku nazywał się Altkessel (Stary Kisielin). Dzisiejsze Jany koło Zielonej Góry do 1936 roku miały nazwę Janny, co mogło oznaczać pochodzenie od polskiego imienia Jan. Hitlerowcy przechrzcili je na Fliederthal. Położony nad Odrą Tschieherzig, czyli Cigacice nazwali Oderweck. Drzonków, wcześniej znany jako Drentkau, stał się Beatenthal. Zabór to już nie był Saabor, lecz Fürsteneich. Smogóry koło Ośna Lubuskiego, które przez wieki miały nazwę Schmagorey, stały się Treuhofen.

– Czy po 1 września 1939 roku nadal zmieniano nazwy?

– Ostatnią zmianę przeprowadzono cztery miesiące przed okupacją Polski. Przeciw niej ostro zaprotestowało berlińskie ministerstwo wojny, ponieważ wydrukowano mapy dla wojska ze starymi nazwami. W sierpniu administracja powiatów musiała przemalować drogowskazy i tablice z nazwami miejscowości, żeby oddziały Wehrmachtu nie pogubiły się w marszu na Polskę.

– A jak od 1945 roku zachowywali się Polacy na ziemiach zwanych odzyskanymi?

– Podobnie jak Niemcy, kiedy je germanizowali. Nasze władze za wszelką cenę chciały udowodnić, że to nie ziemie przydzielone podczas konferencji poczdamskiej, lecz odzyskane, prastare ziemie piastowskie, słowiańskie. Te ziemie miały bardzo dawną historię, a potem bardzo długą przerwę aż do 1945 roku. Propagandyści robili wszystko, aby wymazać niemieckie dzieje Środkowego Nadodrza z przeszłości. Wagony pełne ponemieckich cegieł z rozbitego Kostrzyna, Gubina, Głogowa przez wiele lat jechały do centralnej

Polski. Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa w Warszawie powstała z cegieł wywiezionych znad Odry i Nysy.

– Dlaczego uczeni nie protestowali przeciw takiemu traktowaniu tej ziemi?

– Protestowali, ale ich głos był za spokojny, za cichy. Ponadto, na co trzeba zwrócić uwagę, nawet uczeni nie do końca byli przekonani, że te ziemie na zawsze pozostaną w granicach Polski.

– Mimo to je polonizowano.

– Już mówiłem, że przy Radzie Ministrów istniała komisja nazewnicza, która starała się proponować nazwy mające znaczenie historyczne. W zasadzie to nieźle się udawało w odniesieniu do miejscowości mających korzenie piastowskie. Wschowa już nie była Fraustadt, Żagań – Sagan, Świebodzin – Schwiebus. Międzyrzecz – Meseritz. Zdarzały się też niczym nieuzasadnione odstępstwa od tej logicznej zasady. W sprawie leżącego w pobliżu Zielonej Góry Deutsch Kessel, co należy przetłumaczyć jako Niemiecki Kisielin, wojewoda poznański wydał zarządzenie, w którym miejscowość otrzymała nazwę Nowy Kisielin. Stało się chyba tak wyłącznie dlatego, że po sąsiedku leżał Stary Kisielin, który, jak już wspominałem, na fali germanizacji w 1937 roku został Altkessel, a wcześniej był Polnisch Kessel.

– Do 1945 roku na żadnej mapie nie było Słubic.

– Kilka miast rozdzielonych rzekami granicznymi znalazło się w podobnej sytuacji. Po jednej stronie Nysy Łużyckiej leżało niemieckie Guben, po drugiej polski Gubin, który otrzymał nazwę w wersji łużyckiej. Identycznie Odra oddzielała Kostrzyn od Küstrin – Kietz. Bardziej skomplikowana sytuacja była tam, gdzie leżało miasto Forst, przez które przepływała Nysa Łużycka. Po polskiej stronie niewiele zostało z dawnej zabudowy, mimo to postanowiono nadać gruzowisku łużycką nazwę Barśc, Barszcz. Łęknica, do 1945 roku będąca częścią Muskau, najpierw była Lubanicą. Spytał pan o Słubice, które jako samodzielne miasto pojawiły się na mapie dopiero w 1945 roku. Wcześniej po wschodniej stronie Odry znajdowała się dzielnica Frankfurtu, zwana Dammvorstadt, czyli Przedmieście za Wale, w mowie potocznej zwana Gartenstadt, czyli Miejski Ogród.

– **Jasień w dzisiejszym powiecie żarskim nie był Jasieniem.**
– Pierwsza jego nazwa pochodzi z tysięcznego roku, kiedy w tym miejscu stanęła osada Gozenna, potem przemieniona w Gozewę, a ta w niemiecki Gassen i rzadko występujący łużycki Gašyn. Polscy mieszkańcy miasteczka nazwali je Gąsinem, potem funkcjonowała nazwa Gocław. W 1946 roku komisja nazewnicza zaproponowała Jasień i tak zostało. Ośrodek kolejarski, mam na myśli Rzepin, przez krótki okres funkcjonował jako Rypin Lubuski.

– **Pan pisał swoje książki w leśniczówce koło Kargowej. Raz Pan podaje, że to były Liny, kiedy indziej że Linie.**

– Obie nazwy funkcjonowały w zależności od tego, kto się nimi posługiwał. Wędkarze, których spotykałem nad jeziorem, mówili: Liny. Leśniczy, u którego się stołowałem, uważał, że to Linie. Kargowa, zanim otrzymała teraz obowiązującą nazwę, do 1793 roku była Unrugowem. Pod panowaniem pruskim zmieniła się w Unrugstadt. Po 1945 roku stała się Kargową, przyjmując nazwę od włączonej do niej pobliskiej wsi Karge.

– **Czy po wojnie zmieniano wyłącznie nazwy miejscowości?**

– Ponieważ nie dało się zmienić historii, chociaż próbowano ją naciągać, za wszelką cenę starano się zamazać wszystko, co miało niemieckie brzmienie. Polonizowano nie tylko nazwy miejscowości, lecz i nazwiska, a nawet odrzucano imiona z niemieckiego kalendarza.

– **Mimo tylu zabiegów z obu stron nie udało się zatrzeć wszystkiego, pozostały choćby nazwy łużyckie. Na przykład koło Żar pozostał Grabik, Tuplice, Trzebiel...**

– Łużycka przeszłość nie przeszkadzała polskim władzom, ba, nawet ją podkreślano jako słowiańskie korzenie tej ziemi. Zapomniano albo przemilczano to, że kiedy po zakończeniu II wojny światowej wysiedlano Niemców to i wysiedlono Łużyczan, których nazwiska naziści wcześniej zgermanizowali albo zapisali w formie niemieckiej. Niewiele brakowało, a wysiedleni zostaliby również rdzenni mieszkańcy Dąbrówki Wielkopolskiej, wsi niezwykle zasłużonej dla pielęgnowania polskości, w której przed wojną była polska szkoła, polski chór i zespół taneczny, polski bank ludowy, polski związek gimnastyczny Sokół. To samo mogło spotkać Cichych, Fabisiów,

Krawców, Weimanów, Obstów z Nowego Kramska, Taberskich, Trochelepszych z Podmokli Wielkich, Spiralskich ze Starego Kramska. Na ich szczęście nie wszyscy urzędnicy byli analfabetami.

– **Dziś można powiedzieć, że zabawna jest historia łużyckiej wsi Niemaszchleba koło Gubina. Dopiero dziś, bo kiedyś dramatyczna.**

– Sprawa nabrała rozgłosu w propagandowej książce Tadeusza Zimeckiego *Niemaszchleba*. Wedle Zimeckiego wieś ta „zwała się po staropolsku Niemaszchleba”. Ręce opadają, gdy się czyta takie brednie... To była łużycka wieś fenomen, której przez setki lat udało się zachować słowiańską nazwę: Njamaškleba. Proszę sobie wyobrazić, że nawet na pruskich mapach była Niemaschkleba.

– **Przypadek? Przeoczenie?**

– Pewnie Prusacy uznali tę wieś za spokojną, nikomu ani niczemu nie zagrażającą. Marcin Tujdowski przywołuje takie zdarzenie z 1664 roku, „kiedy mieszkańcy wysłali list do konsystorza lubińskiego z prośbą o zmianę pastora przysłanego do wsi. Nowy kapłan znał tylko język niemiecki, przez co wierni nie byli w stanie go zrozumieć. Konsystorz lubiński przysłał oficjalną komisję, która po oględzinach we wsi doznała szoku: w tym czasie w Niemaszchleba język niemiecki znało tylko 30 osób; 16 osób nie było w stanie zmówić po niemiecku pacierza a 125 mieszkańców wsi w ogóle nie rozumie języka niemieckiego.”

– **Mimo to Niemcy zmienili nazwę wsi.**

– Stało się to dopiero w 1935 roku, kiedy naziści usuwali z tej ziemi wszystko, co miało słowiańską treść. Jej nowa nazwa brzmiała Lindenheim.

– **W 1945 roku Niemaszchleba wróciło na mapę.**

– Było na niej do 1953 roku. Wtedy powstała we wsi spółdzielnia produkcyjna. Proszę nie sądzić, że powstała dobrowolnie. Musiała powstać, w przeciwnym razie ktoś w Komitecie powiatowym straciłby funkcję partyjną. Zimecki twierdzi w swoim produkcyjniaku, że „Wieś nie może się nazywać Niemaszchleba. To nazwa, która nie pasuje do kraju budującego socjalizm. Sugerowałaby ona wrogom

i wszystkim niepewnym elementom, że w Polsce brakuje chleba. Trzeba z tym skończyć. Kiedy zapytano go, jakby wieś należało przemianować, odpowiedział bez wielkiego namysłu: – Chlebowo! Chlebowo, towarzysze! Będzie spółdzielnia, będą przodujący rolnicy, a tu Niemaszchleba. Niechaj będzie Chlebowo!”

– **Nikt nie podpowiedział, że po drugiej stronie rzeki, parę kilometrów dalej leży Chlebow?**

– W powieści Zimeckiego jedynie kierownik szkoły był przeciw. To znaczy nie pozwolił woźnemu, aby zdjął z budynku szkolnego tablicę z nazwą wsi. Tym kierownikiem szkoły był mądry nauczyciel Stanisław Czipka, który zaproponował nazwę Piastowo, lecz władze w Warszawie powiedziały stanowczo: nie. Ma być Chlebowo. Koniec dyskusji.

– **Łużyckie Niemaszchleba na pewno oznaczało tyle, co polskie nie masz chleba?**

– Jak podaje Tujdowski, był to rzadki przypadek nazwy miejscowej zawierającej pełne zdanie. Nie należało rozumieć jej dosłownie, ponieważ odnosiła się nie tyle do braku chleba, co do charakterystyki okolicy. Z zasady ziemie nad rzeką są urodzajne, tu jednak wylewy Odry zmywały wierzchnią, żyzniejszą warstwę gleby. Inaczej działo się w Chlebowie, które po łużycku zwało się Klěbow, gdzie wylewy Odry użyźniały tereny tym, co zabrały z pól rolników w Niemaszchleba.

– **Koło Żar leży wieś Suchleb.**

– W XIV wieku osada ta zwała się Czukleybe, Niemcy mówili Zukleba, Łużyczanie zaś Suchy Klěb, co można na polski przełożyć jako czerstwy chleb. Dlaczego rządowa Komisja Nazw Miejscowości uznała, że Suchleb będzie najlepszym polskim określeniem wsi, nie wiem. Nazwa Suchy Chleb nikomu by nie przeszkadzała.

– **Na mapie województwa lubuskiego nie znalazłem Niemczy.**

– Ma pan na myśli miejscowość znaną z czasów Bolesława Chrobrego, kiedy władca Polski odparł najazd wojsk cesarza niemieckiego Henryka II. O bitwie pod Niemczą wspomniał kronikarz Thietmar z Merseburga. Prawdopodobnie chodziło nie o Niemczę na Łużycach,

lecz o dzisiejsze miasteczko w powiecie dzierzoniowskim na Dolnym Śląsku. Niemczy łużyckiej, zwanej po niemiecku Niemitzsch, nie znajdzie pan na żadnej mapie Środkowego Nadodrza, a to dlatego, że wieś dostała polską nazwę Polanowice. Szkoda, ponieważ Niemcza była uważana za jeden z największych ośrodków administracyjnych, wojskowych, gospodarczych, kultowych Nadnysia w państwie Piastów.

– Nie znalazłem też Szydłowa, uważanego za jedną z najważniejszych warowni w czasach piastowskich.

– Kasztelania szydłowska postawiona tam, gdzie Nysa Łużycka wpada do Odry, straciła na znaczeniu po zajęciu tej ziemi przez margrabiów brandenburskich. Miejscowość zamieszkiwali w przeważającej większości Serbowie Łużyccy, stąd jej nazwa Siedło albo Schiedło dla Niemców. W 1909 roku wielka powódź zniszczyła domostwa i zagrody, co było powodem opuszczenia ich przez mieszkańców na zawsze. Nieliczne pamiątki przeszłości, mam na myśli ruiny kościoła, pozostałości po murach, ślady obecności Szwedów w czasie wojny trzydziestoletniej pozostały do czasów współczesnych.

– Do 1993 roku na najbardziej dokładnej mapie Środkowego Nadodrza nawet dociekliwy czytelnik nie odnalazł Kęszycy Leśnej.

– Gdyby ów dociekliwy czytelnik wybrał się w pobliże Międzyrzecza, nad Jezioro Kęszyckie, zobaczyłby mur i wartownika. Tam Niemcy zbudowali bazę wojskową Regenwürmerlager, co można przetłumaczyć na polski jako obóz dżdżownic. W latach II wojny światowej w bazie szkolili się żołnierze formacji zagranicznych, które walczyły po stronie niemieckiej. Od 1945 roku użytkowało ją wojsko polskie, potem Armia Radziecka, a w 1993 roku pojawiła się Kęszycza Leśna jako wieś w gminie Międzyrzecz, opodal wsi Kęszycza z rodowodem średniowiecznym

– Podobną historię ma Tomaszowo.

– Ta wieś również pojawiła się na mapie Polski niemal pół wieku po zakończeniu II wojny światowej, dopiero po likwidacji Układu Warszawskiego. W 1945 roku poniemieckie osiedle przy bazie lotniczej koło Starej Koperni w pobliżu Żagania zajęła Armia Czerwona.

W blokach mieszkały rodziny żołnierzy 42. Tanneberskiego pułku lotnictwa bombowego. Po ich wyprowadzce obiekty przejęła gmina wiejska Żagań. W 1993 roku radni uchwalili, że wieś będzie Tomaszowem, od imienia wójta Tomasza Niestuchowskiego.

– Ostatnie zmiany na mapie nazewniczej Środkowego Nadodrza były w 2007 roku.

– Miały one charakter porządkujący. Wtedy Howa straciła przymiotnik Żagańska. Jest więc miasteczko Howa w powiecie żagańskim. Dla jednych Kostrzyn Odrzański, dla drugih Kostrzyn nad Odrą, dla jeszcze innych Kostrzyń, a nawet Koszczyń, stał się raz na zawsze Kostrzynem nad Odrą. W urzędowym spisie nazw Łagów przestał być określany przymiotnikiem Lubuski. Jest dziś wieś Łagów w powiecie świebodzińskim. Jest również jeszcze jeden Łagów, wieś w gminie Dąbie należącej do powiatu krośnieńskiego. Skoro mówimy o porządkowaniu nazw miejscowości to warto dodać, iż położona w powiecie wschowskim Sława dawno utraciła drugi człon: Śląska. Nadleśnictwo jednak pozostało przy dawnym określeniu, podobnie jak i zachowała się stara tablica z nazwą na stacji kolejowej.

– Dziękuję za pouczającą rozmowę.

Pochodzenie nazw byłych i obecnych miast powiatowych

Babimost (niem. Bomst) – miasto dawniej miało dwie nazwy: Babi-most i Potopisko. Pierwsza pochodzi od ‘babi + most’, oznaczającej most do baby, czyli na teren podmokły. Druga nazwa Potopisko – od wyrazu potop, potopić.

Drezdenko (niem. Drisen) – Gall Anonim zanotował formę Drzu. W średniowiecznych dokumentach jest Drecen, Drežno. Nazwa pochodzi od wyrazu ‘drzazga’, dawniej oznaczającego chwast. Dla odróżnienia od miasta w Saksonii stosowano formę zdrobniałą Drezdenko.

Gorzów Wielkopolski (niem. Landsberg an der Warthe) – nazwa jest kalką nazwy miasta Landsberg in Oberschlesien na Śląsku Opolskim, które tamtejsi Polacy określili jako Gorzów Śląski. Pochodzi od nazwy osobowej ‘Gorz’. Znane są imiona złożone typu Gorzysław.

Gubin (niem. Guben) – dawniej nazwa mogła brzmieć Gąbin. Pochodzi od nazwy osobowej ‘Gęba’. W źródłach średniowiecznych często występuje taka nazwa osobowa.

Koźuchów (niem. Freystadt, łac. Cosuchovia) – nazwa miasta zapewne wywodzi się od nazwy osobowej ‘koźuch’ lub miejsca, gdzie wyrabiano kożuchy. W XIII wieku był tu Cosuchow.

Krosno Odrzańskie (niem. Crossen an der Oder) – nazwa pochodzi od wyrazu ‘krosta’, oznaczającego nierówności terenu. W Kronice Thietmara pod rokiem 1005 jest „in Crosno”.

Lubsko (niem. Sommerfeld) – polska nazwa pochodzi od rzeki Lubszy, która przepływa przez miasto.

Międzyrzecz (niem. Meseritz) – w średniowieczu nazwa brzmiała Miedzyrzecze, Miedzyrzecz. Pochodzi od wyrazu ‘międzyrzecze’, oznaczającego obszar między rzekami.

Nowa Sól (niem. Neusaltz, łac. Neo Salense) – od XVI wieku osada warzelników soli. Prawdopodobnie wcześniej miasto nazywało się Solec. Współczesna nazwa polska jest odpowiednikiem niemieckiej Neusaltz.

Skwierzyna (niem. Schwerin an der Warthe) – w średniowieczu była Skwirzyna. Nazwa prawdopodobnie pochodzi od dawnego wyrazu ‘skwirz’, oznaczającego świerszcza.

Słubice – Kazimierz Rymut podaje, że po prawej stronie Odry leżała osada Śliwice, notowana w dokumentach jako Zbiwiz, Zbirwiz, Zliwitz. Kiedy powstał Frankfurt nad Odrą, prawobrzeżna osada została włączona do miasta. Nazwa Śliwice pochodzi od wyrazu ‘śliwa’.

Strzelce Krajeńskie (niem. Friedeberg) – Jan Długosz w *Annales seu cronicae incliti Regni Poloniae* użył nazwy Strzelcze. Wskazuje ona na pochodzenie nazwy osady od służebnych strzelców, ludzi polujących dla dworu książęcego. Obocznie występowała nazwa Vredeberg, określająca miasto wolne od płacenia danin czy podatku.

Sulechów (niem. Züllichau) – nazwa pochodzi od nazwy osobowej ‘Sulech’, znanej ze źródeł średniowiecznych. Została utworzona od imion typu Sulisław, Sulimir.

Sulęcín (niem. Zielenzig) – nazwa miasta pochodzi od nazwy osobowej ‘Sulęta’, utworzonej od imion złożonych typu Sulisław, Sulimir.

Szprotawa (niem. Sprottau, łac. Sprotavia) – miasto leży przy ujściu Szprotawy. Pierwotnie nazwa oznaczała rzekę o szybkim biegu wody.

Świebodzin (niem. Schwiebus) – nazwa pochodzi od nazwy osobowej ‘Świeboda’, oznaczającej w staropolszczyźnie bogactwo, swobodę.

Wschowa (niem. Fraustadt) – najstarsza nazwa mogła brzmieć Veschov. Jako Wieszow wywodzi się od nazwy osobowej ‘Wiesz’, notowanej w źródłach średniowiecznych. Pochodzi od imion złożonych typu Wielisław. Mogła zostać zdeformowana i wtórnie przyjęta jako Wschow.

Zielona Góra (niem. Grünberg, czes. Zelena Hora) – dosłowne tłumaczenie niemieckiej nazwy Grünberg. W średniowieczu była spotykana nazwa skrócona Zielona.

Żagań (niem. Sagan) – prof. Stanisław Rospond sugeruje, że nazwa pochodzi od wyrazu ‘zagon’. W starych dokumentach jest Sagan, Zagan, a nawet pisany po polsku Żegań.

Żary (niem. Sorau) – w Kronice Thietmara występuje nazwa okręgu Zara. Od średniowiecza miasto jest znane jako Sar. Nazwa pochodzi od słowa ‘zar’, oznaczającego miejsce wypalone.



*Wiktor Dubynin – autor nieznany –
fotografia ze strony www.peoples.ru/military*

Wiktor Pietrowicz Dubynin

Urodził się 1 lutego 1943 w Kamieńsku na Uralu, zmarł 22 listopada 1992 r. w Moskwie. Ukończył moskiewskie uczelnie wojskowe Akademię Wojsk Pancernych i Akademię Sztabu Generalnego. Był dowódcą przegranej interwencji wojsk sowieckich w Afganistanie, potem dowodził Kijowskim Okręgiem Wojskowym. W 1989 r. został dowódcą Północnej Grupy Wojsk (Armii Radzieckiej), tu awansował na generała pułkownika. W 1992 r. otrzymał stopień generała armii i kierował sztabem generalnym Federacji Rosyjskiej jako pierwszy zastępca ministra obrony.

ARMIA SOWIECKA Z TOBĄ OD DZIECKA

Rozmowa z gen. Wiktorem Pietrowiczem Dubyninem, ostatnim dowódcą Północnej Grupy Wojsk (Armii Radzieckiej)

– Od czasów pierwszego dowódcy Północnej Grupy Wojsk Konstantego Rokossowskiego miał Pan najgorszą opinię w Polsce.

– Nigdy mnie nie interesowało, co mówią Polacy o mnie i o moich podwładnych. Zawsze wykonywałem rozkazy radzieckiego dowództwa wojskowego. W ocenie moich przełożonych należałem do wybierających się młodszych generałów. Dlatego po rozpadzie Związku Radzieckiego zostałem pierwszym zastępcą ministra obrony i szefem sztabu generalnego armii Federacji Rosyjskiej.

– A nie dlatego, że poparł Pan prezydenta Rosji Borysa Jelcyna podczas puczu twardogłowych z KGB w 1991 roku?

– To był mój żołnierski i obywatelski obowiązek. Jeszcze jako kandydat na oficera wojsk pancernych przysięgałem wiernie służyć Związkowi Socjalistycznych Republik Radzieckich bez względu na to, gdzie się znajdę. Po rozwiązaniu ZSRR zostałem żołnierzem stojącym na straży niepodległości państwa, prawa i demokracji w Federacji Rosyjskiej.

– Nie sprawdził się Pan jako dowódca wojsk sowieckich podczas interwencji w Afganistanie.

– Jeszcze taki się nie urodził w Rosji ani w Ameryce, któremu udało się pokonać Afgańczyków.

– Czy zdaje Pan sobie sprawę z tego, że wśród Polaków miał pan opinię prowincjonalnego żołdaka?

– Nie interesowało mnie nic poza armią, a tym bardziej opinie Polaków. U nas się mówiło „małe Polaczki”. To ci ludzie nigdy nie lubili Rosjan. Rusofobia to niemal polska cecha narodowa.

– Wielu Polaków przeżyło Sybir. Wielu utraciło najbliższych w Katyniu. Wielu już po zakończeniu II wojny światowej siedziało w rosyjskich więzieniach.

– Niemców Polacy też nie lubili. Przyjaciół szukali daleko od swoich granic, we Francji, w Anglii, a nawet w Ameryce.

– Bohater Gogolowych *Martwych dusz* powiedział, że „Rosjanin nie lubi przyznawać się przed innymi, że zawinił”.

– Myśmy zawiniли wobec Polski? A kiedy?... Od zakończenia drugiej wojny światowej karmiliśmy was, broniliśmy, kształciliśmy waszych studentów na naszych uczelniach wojskowych i cywilnych. Dużo nas to kosztowało, lecz staraliśmy się tego nie wypominać. Uważaliśmy to za słuszne w powiększającej się rodzinie państw socjalistycznych. Pomagaliśmy nie tylko Polsce, lecz i Węgrom, kiedy nas o to poprosili, i Wietnamowi... a nawet Kubie.

– Panie generale, wspomniany już Gogol w tych samych *Martwych duszach* napisał: „Rosjanin zdolny jest do wszystkiego i przywyknie do każdego klimatu”.

– Proszę pana, pamięć historyczna bardzo obciąża relacje polskorosyjskie, a wzajemna wiedza o naszych krajach jak była znikoma, taka i pozostała. Przeciętny Polak więcej wie o Francji czy Anglii, a już na pewno o Ameryce niż o Rosji. Identycznie jest w moim kraju. A tak tylko do pańskiej wiadomości: od czasów dzieciństwa moją podstawową książką była opowieść *Jak hartowała się stal* Mikołaja Ostrowskiego.

– Zdając sobie z tego sprawę, Pan jako dowódca Północnej Grupy Wojsk niewiele robił, aby to zmienić. Mało tego, już jako pierwszy zastępca ministra obrony chciał Pan od Polski prawie 27 miliardów rubli zapłaty za... No właśnie, za co Polska miała zapłacić?

– A rząd polski nie domagał się od nas zapłacenia 31 milionów franków szwajcarskich za dostarczoną żywność, energię i transport kolejowy? A nie wystawił nam rachunku za czynsze: 34 miliardy złotych? Chcieliście zapłaty za to, że uzbroiliśmy wasze wojsko w 1943 roku i przez pół wieku broniliśmy waszego kraju... W 1945 roku nasze oddziały zajęły obiekty poniemieckie, w których nigdy wcześniej nie została zainwestowana choćby jedna polska złotówka. Potem za 400 milionów dolarów zbudowaliśmy mieszkania, których przecież nie rozebraliśmy ani nie zabraliśmy do Rosji razem z wycofującymi się wojskami... Ciężko się z panem rozmawia.

– **Czy Pan wiedział, że kontrowersyjne wypowiedzi pana na temat polskiej racji stanu i stacjonowania wojsk sowieckich w Rzeczypospolitej Polacy nazywali dubyninkami.**

– A co to znaczy?

– Mniej więcej tyle, co pleść androny, mówić dyrdymały, głupstwa, gadać trzy po trzy, koszałki-opałki, ośmieszać siebie i swoje środowisko.

– Wy, Polacy, nigdy nie kochaliście Rosjan, a powinniście przynajmniej nas lubić.

– **Dlaczego?**

– W waszych i w naszych żyłach płynie ta sama krew słowiańska.

– **Czesi też są Słowianami i mimo to również was nie lubili.**

– Ich zdanie nigdy nie miało większego znaczenia. Owszem, należeli do rodziny słowiańskiej, ale wzrok kierowali ku Niemcom... Powinniście mieć inny stosunek do nas również i dlatego, że niezwykła Armia Czerwona wyzwoliła Polskę spod niemieckiej okupacji.

– **Najpierw, bo 17 września 1939 roku, Armia Czerwona wtargnęła na polskie Kresy Wschodnie.**

– Zrobiła to w odpowiedzi na oczekiwanie gnębionych przez polskich panów Białorusinów i Ukraińców.

– **Armia Czerwona zajęła również Litwę, Łotwę i Estonię, a na tamtych ziemiach już dawno nie było polskich panów.**

- Poprosili nas o pomoc przedstawiciele tamtejszych władz.
- Analogicznie jak władze Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku?
- Jako żołnierz nie mam zwyczaju komentowania decyzji radzieckiego kierownictwa.
- Niemcy, Węgry, Czechosłowacja, Afganistan... Może i Polska?
- Jeśli generał Jaruzelski nie wprowadziłby stanu wojennego, to po 13 grudnia 1981 roku wojska radzieckie rozpoczęłyby porządkowe działania w polskim państwie.
- Zdaje Pan sobie sprawę z tego, co by się wtedy działo w Polsce?
- Niezwyciężona Armia Radziecka...
- Niedługo po upadku Związku Sowieckiego wojska pańskiego kraju wycofały się z Węgier, Czechosłowacji, nawet z Mongolii. Na pytanie, kiedy Rosjanie wyjdą z Polski, 15 stycznia 1991 roku Pan odpowiedział: „Armia Radziecka, która kiedyś pokonała Niemców, a Polsce przyniosła wolność, wyjdzie z Polski, kiedy uzna za stosowne, drogami i szlakami, które uzna za stosowne i z rozwiniętymi sztandarami, w sposób, który ustali, a jeśli ktoś jej będzie przeszkadzał, nie bierze odpowiedzialności za bezpieczeństwo ludności Polski”.
- Wycofywanie naszych wojsk z Polski zaczęło się jesienią 1991 roku. Dwa lata później, 17 września, Lech Wałęsa uroczystie pożegnał przed Belwederem ostatnich żołnierzy Armii Rosyjskiej. Wybór tego dnia nie był przypadkowy. W ten sposób nasz prezydent chciał przypomnieć światu o tym, co się wydarzyło 52 lata wcześniej.
- Ma Pan na myśli 17 września 1939 roku, kiedy Armia Czerwona zajęła polskie Kresy Wschodnie?
- Już powiedziałem, że myśmy zrobili ten krok w odpowiedzi na oczekiwanie Białorusinów i Ukraińców, gnębionych przez polskich panów.

– Potem Sowieci weszli w głąb kraju. Przez 49 lat Armia Radziecka była niemal wszędzie, najwięcej baz wojskowych miała w zachodniej części Polski. Było nawet takie powiedzonko: „Armia sowiecka z tobą od dziecka”.

– W 1945 roku nasze wojska zajęły obiekty opuszczone przez Niemców na ziemiach przyznanych Polsce w umowie poczdamskiej. Wspólnie z waszą armią sumiennie strześliśmy granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Wiem, że w waszej propagandzie szeptanej mówiło się o rabunkach, mordach i gwałtach dokonywanych przez żołnierzy radzieckich na Polakach. Obciążaliście nas za wywóz mienia przemysłowego, ale przecież to nie był majątek polski, lecz Niemców, zostawiony na skutek przesunięcia granicy. Nie wywieźliśmy wszystkich fabryk, dróg, domów, a jedynie to, co było niezbędne do prowadzenia wojny i na co wyraził zgodę rząd niepodległej Polski w Warszawie.

– Panie generale, nie jest moim zamiarem rozliczanie Rosjan z tego, co zagrabili lub co pańscy rodacy zniszczyli na Środkowym Nadodrzu. Mnie interesuje odpowiedź na jedno pytanie: czy wasze wojska składowały w Polsce bomby atomowe?

– Po co to panu, cywilowi, wiedzieć?

– Polskie władze nigdy oficjalnie tego nie wyjaśniły. Proszę potwierdzić albo zaprzeczyć, że mieliście u nas magazyny broni atomowej. Że wszystko to kryło się pod kryptonimem „Wisła”.

– Fakt ten jako pierwszy i jedyny przedstawiciel Federacji Rosyjskiej potwierdziłem w 1991 roku. O miejscach rozmieszczenia głowic jądrowych wiedziało dwunastu polskich oficerów, w większości absolwentów naszych uczelni wojskowych.

– Wiedzieli i milczeli? Zgodzili się na rozmieszczenie broni atomowej?

– Wasi oficerowie nie mieli nic do powiedzenia w tej sprawie, wykonywali jedynie rozkazy. Broń jądrowa składowana w Polsce była jedną z największych tajemnic Układu Warszawskiego. Natomiast wasi cywilni przedstawiciele w organizacjach międzynarodowych

przekonywali, że Polska jest wolna od broni jądrowej. Jak na ironię domagali się denuklearyzacji i likwidacji baz wojskowych z głowicami jądrowymi na terenie zachodnich Niemiec.

– Jak zareagowało dowództwo Sojuszu Północnoatlantyckiego w tej sprawie?

– NATO udawało, że nie wie o głowicach rozmieszczonych w Polsce. Wiedziało dokładnie, gdzie się one znajdują i w razie gdybyśmy zaatakowali pierwsi, było gotowe do kontruderzenia. Nie muszę pana przekonywać, że po Środkowym Nadodrzu zostałby wielki rów atomowy.

– Od dawna broń atomowa znajdowała się w Polsce?

– 25 lutego 1967 roku zapadła decyzja o rozmieszczeniu głowic jądrowych jak najbliżej granicy z NATO. Tego dnia w Moskwie zawarto porozumienie międzyrządowe o „środkach podjętych w zakresie podwyższenia gotowości bojowej wojsk”. Podpisali je ministrowie obrony: z naszej strony marszałek Andriej Grieczko, z waszej Marian Spychalski.

– Marian Spychalski od 1963 roku był marszałkiem Polski.

– Z niego był taki wojskowy jak ze mnie kandydat nauk historycznych. Owszem, Rada Państwa awansowała go na stopień marszałka, ale nigdy nie dowodził wojskami. To był architekt z wykształcenia w mundurze politruka.

– Zna Pan treść dokumentu podpisanego w Moskwie?

– Najważniejsze zdanie brzmiało tak: „Do połowy 1969 roku w zachodnich rejonach Polski zostaną zbudowane trzy obiekty do składowania broni nuklearnej”.

– W zachodnich rejonach Polski, czyli gdzie?

– Tam, gdzie jest najmniejsze zaludnienie. Gdzie najłatwiej ukryć takie obiekty. Oczywiście w niedalekiej odległości od naszych baz wojskowych. A więc na Pomorzu w rejonie Białogardu i Włocza oraz na Ziemi Lubuskiej koło Międzyrzecza.

– Dlaczego w tych miejscach?

– Chodziło o to, aby broń jądrowa znajdowała się na pozycjach najbardziej wysuniętych na zachodnie rubieże Układu Warszawskiego. Aby była gotowa do natychmiastowego użycia. Zasięg naszych rakiet taktyczno-operacyjnych z ładunkiem jądrowym nie przekraczał trzystu kilometrów.

– **Czyż nie bliżej na zachód było z Czechosłowacji albo z NRD?**

– Wschodnie Niemcy nie wchodziły w rachubę, jeśli chodzi o składy ładunków specjalnych. W Czechosłowacji nasze wojska zostały dopiero po 1968 roku, gdy, jak już powiedziałem, a więc już po podpisaniu porozumienia w sprawie budowy składów koło Międzyrzecza, Białogardu i Wąlcza.

– **Rzeczywiście te obiekty powstały w wyznaczonym czasie?**

– Składy zaprojektowali nasi inżynierowie, budowę prowadziły do 1970 roku jednostki Ludowego Wojska Polskiego z Piły dla potrzeb łączności. O tym, co tam będzie, wiedzieli tylko nasi specjaliści, którzy w tajemnicy przed Polakami zainstalowali urządzenia do przechowywania głowic jądrowych.

– **W tamtym czasie wiele razy byłem w Międzyrzeczu, Sulęcinie, nawet w Wędrzynie, gdzie stacjonowała wasza jednostka saperów, nigdy jednak nie słyszałem o znajdującym się w pobliżu składzie broni atomowej.**

– To była znakomicie ukryta budowla oznaczona na tajnych mapach Układu Warszawskiego jako obiekt 3003. Znajdowała się w lesie nad jeziorem Buszno, niedaleko przysiółka Templewko. Mnie zawieziono tam lokalną drogą prowadzącą z Zarzynia do Trzemeszna Lubuskiego. Miejsce pewne i bezpieczne ze względu na to, że w pobliżu znajdowały się dwie nasze bazy wojskowe, mam na myśli Wędrzyn i Kęszycę. Obiekt 3002 powstał w Brzeźnicy-Kolonii niedaleko Wąlcza, a oznaczony jako 3001 w Podborsku koło Białogardu.

– **Ówczesne władze województwa zielonogórskiego wiedziały o istnieniu składu broni atomowej w lesie nad jeziorem Buszno?**

– Na pewno dokładnie nie orientowały się, do czego on służy czy co w nim się znajduje. Wystarczyła krótka informacja, że jest to obiekt wojskowy w dyspozycji Układu Warszawskiego i lepiej nie pytać, jakie jest jego przeznaczenie.

– **Główce atomowe chyba nie leżały na placu przykryte plan-dekami.**

– W kompleksie budowli przypominających twierdzę były trzy żel-betonowe magazyny ukryte pod ziemią. Do każdego można się było dostać dopiero po otwarciu czterech par stalowych drzwi o grubości pół metra każde, odblokowywanych przez silniki i mechanizm hydrauliczny po wcześniejszym wpisaniu odpowiedniego, zmienianego każdego dnia kodu. Na magazynach z góry wyglądających jak leśne pagórki rosły drzewa i krzewy. Gdyby samolot NATO-wski zrzucił tam spadochroniarzy to mogli się nadziać na rzędy metalowych słupów. Całości, chronionej przez specnaz i komandosów z grup specjalnych, broniły schrony z bronią maszynową i mur ze strzelcami wyborowymi. Baza była otoczona potrójnymi zasiekami z drutu kolczastego oraz przewodami podłączonymi do wysokiego napięcia. Wszystkie drogi betonowe i asfaltowe prowadzące do Wołkchodaru, bo taką nazwę miał ten kompleks, były przykryte siatką maskującą.

– **Ile ludzi na stałe przebywało w bazie?**

– Oprócz trzech składów na ładunki nuklearne i bunkrów ochronnych w Wołkchodarze były pomieszczenia administracyjne, koszary, magazyn paliw i garaże. W kompleksie stacjonowało 120 żołnierzy oraz 60 oficerów i techników.

– **W razie konfliktu zbrojnego czyje wojsko, polskie czy sowieckie, miało mieć dostęp do broni atomowej?**

– Aż do połowy lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, czyli do czasu Michaiła Gorbaczowa, w doktrynie Układu Warszawskiego nie było mowy o cofaniu się wojsk. Należało iść tylko naprzód. Oznaczało to, że polskie dywizjony raketowe miały ostrzelać ładunkami nuklearnymi wskazane obiekty na zachodzie Europy. Główce jądrowe miały zostać dostarczone również do jednostek lotniczych. Taki zmasowany atak na nieprzyjaciela po stronie NATO miał trwać do godziny. W tym czasie Ludowe Wojsko Polskie powinno wystrzelić

131 ładunków nuklearnych i zrzucić 31 atomowych bomb lotniczych. Dopiero po ostrzelaniu rakietowym i lotniczym do działań miały przystąpić wojska pancerne.

**– Czy brano pod uwagę polską bazę samolotową w Babi-
moście?**

– Najtajniejsze jednostki, wyznaczone do rozpoczęcia działań wojennych, stacjonowały w Biedrusku koło Poznania, w Bolesławcu, w Choszczynie na Pomorzu Zachodnim i w Orzyszu na Pojezierzu Mazurskim.

– Na szczęście bomby atomowe nigdy nie zostały użyte. Co się z nimi stało?

– Po likwidacji Układu Warszawskiego w 1991 roku, a właściwie po rozpadzie Związku Radzieckiego, kiedy już stało się jasne, że będziemy musieli wycofać się z Polski, ładunki nuklearne zostały przewiezione do składów w Rosji.

– Czy dziś, odwiedzając okolice jeziora Buszno, turyści powinni się obawiać, że zostaną napromieniowani?

– Nawet wtedy, kiedy baza znajdowała się pod naszym wyłącznym dowództwem, wszystkie sale tak w składach, jak i pozostałych budynkach były wyposażone w liczniki Geigera. Nie zdarzyło się, aby dopuszczalne normy promieniowania zostały przekroczone. Od nas obiekt wzięło pod nadzór polskie wojsko. Ono też przebadalo go pod względem chemicznym i radiologicznym. Potem wejścia do składów zostały zasypane, aby nikogo nie kusiły, tym bardziej że okolice jeziora Buszno są niezwykle atrakcyjne dla turystów.

– Zanim powiem: dziękuję za rozmowę i ujawnienie tajemnic wojskowych, proszę o odpowiedź na ostatnie pytanie. Czy na lotnisku w Szprotawie był magazyn broni atomowej?

– W pobliżu kilku, bodajże trzech, radzieckich lotnisk wojskowych w zachodniej Polsce pod koniec lat sześćdziesiątych zostały zbudowane bunkry przeznaczone do krótkoterminowego przechowywania głowic jądrowych. Miały one charakter obiektów zapasowych, do których można było przewieźć ładunki jądrowe w sytuacji wyższej konieczności. Ten bunkier, jak i pozostałe nigdy nie był

wykorzystany do celów, w jakich został postawiony. Obiekt w odległości koło kilometra od lotniska w Szprotawie nosił nazwę Granit 2.

– **A w Starej Koperni?**

– W Starej Koperni na pewno nie było takiego bunkra.

– **Dziękuję za te informacje.**

Garnizony sowieckie na Środkowym Nadodrzu w latach 1945-1993

Garnizony Północnej Grupy Wojsk (Armii Czerwonej, od 1946 roku Radzieckiej i od 1991 Rosyjskiej) były rozlokowane głównie na Pomorzu Zachodnim, Ziemi Lubuskiej i Dolnym Śląsku. Bazy wojsk sowieckich znajdowały się w następujących miejscowościach:

Jankowa Żagańska, gmina Iłowa, powiat żagański

skład materiałów pędnych i smarów

Kęszyca, gmina Międzyrzecz, powiat międzyrzecki

frontowa brygada łączności dalekosiężnej

armijny polowy skład materiałów pędnych i smarów

Łozy, gmina Żagań, powiat żagański

skład materiałów pędnych i smarów

Łysiny, gmina Wschowa, powiat wschowski

lotnisko zapasowe (w budowie)

Nowa Sól

szpital wojskowy

Przemków, najpierw powiat szprotawski, od 1999 roku powiat polkowicki

lotniczy poligon bombowy

ośrodek rozpoznania radioelektronicznego

Rudawica, gmina Żagań, pow. żagański

centrum nadawcze z centrum łączności kosmicznej (w budowie)

Stara Kopernia, gmina Żagań, powiat żagański

42. Tannenberski pułk lotnictwa bombowego

baza paliw

Szprotawa, od 1999 roku powiat żagański

149. Dywizja lotnictwa bombowego

85. Pułk lotnictwa bombowego

314. Samodzielna eskadra śmigłowców

339. Batalion łączności

Świętoszów, gmina Osiecznica, powiat bolesławiecki

20. Zwienigorodska dywizja pancerna

8. Gwardyjski pułk czołgów

76. Orszański pułk czołgów

155. Pułk czołgów

1052. Pułk artylerii samobieżnej

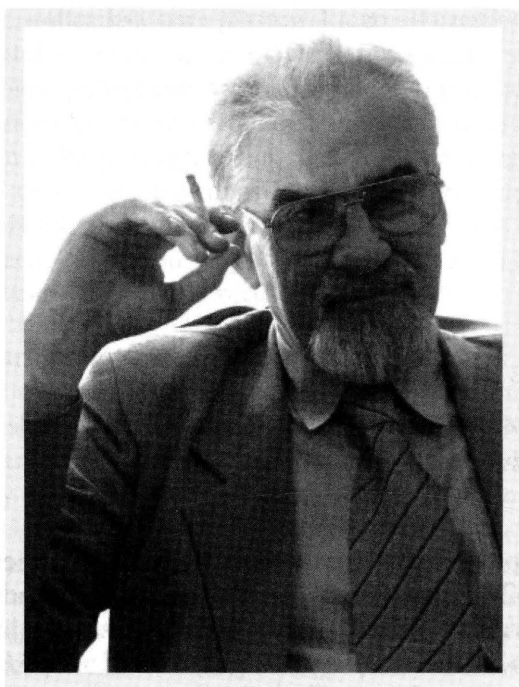
- 459. Pułk rakiet przeciwlotniczych
- 595. Samodzielny dywizjon rakietowy
- 96. Samodzielny batalion rozpoznawczy
- 206. Batalion saperów
- 710. Samodzielny batalion łączności
- 1082. Samodzielny batalion zaopatrzenia
- 219. Samodzielny batalion medyczny
- 70. Batalion remontowo naprawczy

Templewko, gmina Bledzew, powiat międzyszecki
magazyn broni atomowej

Wędrzyn, gmina Sulęcín, powiat sulęcínski
5. Wyborski pułk pontonowy
batalion saperów

Zbąszynek, powiat świebodziński
posterunek inspekcyjny komunikacji wojskowej

Żagań
szpital wojskowy



*Adam Stawczyk – fot. Katarzyna Chądzyńska –
z archiwum autora*

Adam Stawczyk

Urodził się 19 kwietnia 1947 w Lubsku, zmarł 20 grudnia 2008 r. w Żaganiu. Ukończył studia z zakresu pedagogiki kulturalno-oświatowej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Najpierw kierował Powiatowym Domem Kultury w Lubsku, a od 1975 do 2003 r. był dyrektorem Żagańskiego Pałacu Kultury. Przez przyjaciół nazywany księciem panem jak nikt wcześniej przyczynił się do przywrócenia pałacowi dawnego blasku. Miał swój udział w odbudowie innych zabytków żagańskich. Był inicjatorem i prezesem Towarzystwa Przyjaciół Żagania.

ZAGINIONE SKARBY

**Rozmowa z Adamem Stawczykiem,
twórcą Żagańskiego Pałacu Kultury**

– Historia pałacu dziś zwanego książęcym zaczęła się po 18 grudnia 1627 roku. Tego dnia ksiązę Friedlandu Albrecht Eusebius Václav z Valdstejna, bardziej znany jako generał Wallenstein, kupił księstwo żagańskie. Rok później rozpoczął budowę rezydencji. Co było wcześniej w miejscu, gdzie dziś stoi pałac?

– Jest to miejsce w cichym zakolu Bobru, skąd roztaczał się wspaniały widok na nadrzeczną równinę, wedle dawnych zasad: najlepsze do obrony. Nic innego zatem nie mogło tu stać jak zamek obronny. Jeden z dwu piastowskich zamków, jakie były w książęcym Żaganiu.

– Z którą budowlą na Środkowym Nadodrzu można porównać żagański pałac? Jest większy od pałacu wybudowanego w Brodach przez polskiego i saskiego ministra Henryka Brühla?

– Żagański pałac, zbudowany na planie podkowy, pod względem kubatury przewyższa każdy obiekt historyczny na Środkowym Nadodrzu. Jest nawet większy niż krakowski Wawel. Jego trzykondygnacyjna ściana frontowa ma 20 metrów wysokości i 77 metrów szerokości.

– Znaczenie Żagania pewnie nie byłoby tak wielkie, gdyby o to nie zabiegali ci, którzy władali księstwem.

– Żagań jako stolica księstwa piastowskiego od czasów Henryka IV Wiernego miał szczęście do mądrych i zapobiegliwych władców, których ambicje polityczne wykraczały daleko poza granice regionu. Warto wiedzieć, że czwartą żoną króla Kazimierza Wielkiego została żaganiańska Jadwiga, córka Henryka V zwanego Żelaznym. Książę Jan I troszczył się o rozwój miast w swoim księstwie, nadając im najważniejsze przywileje. Książę Baltazar przez dwa lata walczył w Prusach, mając nadzieję na namiestnictwo tej ziemi, a przy okazji i korzyści dla swego dworu i księstwa.

– **Bez wsparcia augustianów byłoby im trudniej?**

– W błędzie są ci, którzy twierdzą, że w Żaganiu istniała wspólnota augustiańska. To był zakon kanoników regularnych laterańskich zorganizowany według reguły świętego Augustyna, w 1284 roku przeniesiony do Żagania z Nowogrodu. Wcześniej, bo w 1217 roku władca śląski książę Henryk Brodaty sprowadził kanoników regularnych z Flandrii do Nowogrodu znanego jako Bobrzański. Historia zakonu augustiańskiego zaczyna się w drugiej połowie XIII wieku. Nazywanie kanoników regularnych augustianami pewnie wynikało z tego, że wspólnota ta wcześniej występowała pod nazwą zakonu kanonicznego świętego Augustyna. Kto i kiedy pomylił kanoników regularnych z augustianami, dziś trudno dociec. Niedługo po kanonikach regularnych do Żagania przybyli franciszkanie. Wracając do pytania, ma pan rację, że mnisi przyczynili się do rozwoju miasta. Chociażby opat Johann Felbiger, który założył seminarium nauczycielskie, reformował oświatę, przygotował elementarz nazywany żagańskim.

– **Budowę pałacu rozpoczął książę czeski Wallenstein. Według zmienionego projektu kontynuował ją jego rodak książę Lobkovic. Trzecim właścicielem był książę kurlandzki Piotr Biron. Skąd zainteresowanie władcy z północy rezydencją w Żaganiu?**

– Znaczący wpływ na rozwój Żagania miały związki z Kurlandią profesora Jerzego Piotra Majchrzaka. Twierdzi, że „w Kurlandii sprawy Piotra Birona stały źle. Jego absolutne rządy wywołały silny opór stanów”. Nie ufała mu też Warszawa, a to z powodu flirtu lennika z Petersburgiem i Berlinem. Obawiając się o swoją przyszłość, książę Biron zrzekł się praw do Kurlandii i Semigalii na rzecz Rosji, sprzedał majątek w Mitawie

za dwa miliony talarów i za połowę tej kwoty kupił księstwo żagańskie z prawem dziedziczenia w linii męskiej i żeńskiej.

– Od tego czasu rosło znaczenie Żagania w nowoczesnej Europie?

– Można tak to określić. Książę Biron miał związki z większością dworów europejskich. Był władcą zamożnym i nowoczesnym, wykształconym, otaczającym się światłymi ludźmi, wspierającym artystów i kolekcjonującym ich dzieła. W Mitawie miał wyborną galerię płócien wielkich mistrzów pędzla, porównywalną ze zbiorami Czar-toryskich czy Zamoyskich. Przewiózł ją do Żagania. Zresztą nie tylko płótna, ale i meble, i srebra, i porcelanę, i rękopisy, i broń, i nawet instrumenty muzyczne. Profesor Majchrzak zapewnia, że „w galerii kurlandzkiej, łączącej salę teatralną z apartamentami księcia, obok płócien starych mistrzów, wisiały obrazy Graffa, Grassiego, Kaufmann, Hackerta, Tischbeina”. A więc cenionych malarzy. Józef Grassi był malarzem nadwornym Stanisława Augusta Poniatowskiego. W Żaganiu namalował słynne *Gracje kurlandzkie*, czyli portrety córek Birona. Pędzla Antoniego Graffa był inny, nie mniej słynny portret księżnej Doroty, również powstały w Żaganiu.

– W kwietniu 1809 roku księżna najmłodsza córka Piotra Birona, Dorota, wyszła za mąż za Edmunda Talleyranda-Périgod, bratanka napoleońskiego ministra spraw zagranicznych. Od tego czasu lenno żagańskie staje się francuskie, tak?

– Życie osobiste księżnej Doroty nie układało się tak szczęśliwie, jak sobie to wyobrażała przed ślubem. Podczas jej panowania dla Żagania były to jednak znakomite lata, mówi się nawet: złote czasy. Król pruski Wilhelm IV podniósł rangę księstwa do lenna tronowego. Proszę sobie wyobrazić, że do miasta położonego z dala od Paryża zaglądali najślawniejsi ludzie ówczesnej Europy. Dwa razy dał tu koncert Franciszek Liszt. Brak dowodów, jednak jest możliwe, że grał tu Fryderyk Chopin. Są dokumenty potwierdzające pobyt w Żaganiu Marie Henri Beylego, światu znanego pod literackim nazwiskiem Stendhala. Gościł tu Honoré de Balzac. Nie wspominam o głośnych w tym czasie malarzach, aktorach, śpiewakach, uczonych z Wiednia, Pragi, Berlina, Drezna. Sława i znaczenie Żagania wzrosło szczególnie po wydarzeniach tzw. wiosny ludów.

– Czy każdy mieszkaniec miasta mógł wejść do pałacu i obejrzeć to, co się w nim znajduje?

– W 1855 roku po raz pierwszy udostępniono publiczności pałacową galerię rzeźby i malarstwa. W wydany wtedy katalogu było 467 pozycji. Wśród nich wymieniono płótno *Chrystus uzdrawia trędowatych* najslawniejszego malarza Rzymu Michelangela Caravaggia. Pałacowe korytarze zdobiły dzieła Bernarda Bellotta, w Warszawie znanego jako Canaletto. Tu znajdowało się arcydzieło Velázqueza *Grający na lutni*, Rembrandta *Portret mężczyzny w czerwonej czapce*, van Dycka *Chrystus na krzyżu*. Obok obrazów Angeliki Kaufmann wisiały prace olejne nadwornego malarza Napoleona Bonapartego, jakim był Jaques-Louis David i jego ucznia Francois Gerarda. Sale pałacu upiększały obrazy pędzla Jeana Antoine'a Watteau, Hansa Holbeina, Ericha Krügera, Jacoba Philipa Hackerta, Johanna Heinricha Tischbeina. Były rzeźby tak wybitnego twórcy jak Bertel Thordwaldsen i również znanych: Christiana Daniela Raucha, Antonia Canovy, Johanna Schadowa, Alberta Wolffa, Pietro Teneraniego. Trudno powiedzieć, czy wszystkie prace zawsze znajdowały się w pałacu. Zdarzało się bowiem, że niektóre wypożyczano do Wiednia, Pragi czy czeskiego Nachodu. Część miedziorytów, broni białej i palnej zgromadzonych w kolekcji jeszcze w Mitawie pierwotna córka Piotra Birona, księżna Wilhelmina sprzedawała, gdy potrzebowała pieniędzy. Spustoszeń i grabieży w pałacu zapewne dokonali Francuzi przed 1813 rokiem, kiedy okupowali Żagań. Zresztą już po śmierci księżnej Doroty kolejni francuscy właściciele księstwa, mam na myśli Bosona I, Helego i Howarda Talleyrandów specjalnie nie interesowali się zachowaniem spuścizny po swoich polskich przodkach. Nawiasem mówiąc, na Howardzie w 1929 roku wygasła bezpośrednia linia książąt żagańskich z domu Biron-Talleyrand. Jako spadek dobra żagańskie przeszły na linię boczną.

– Co z tej kolekcji, jak Pan określił, porównywalnej ze zbiorami Czartoryskich czy Zamoyskich, zachowało się do naszych czasów?

– Nic. Jeśli nie liczyć miejsca, na którym stoi odbudowany przy moim udziale pałac.

– Nic?

– Prawie nic. W Żaganiu udało się odnaleźć przedmioty bez znaczącej wartości kulturowej. Co innego w muzeach francuskich, dokąd w trudny do wyjaśnienia sposób dostały się rzeczy z pałacową metryką.

– **A te obrazy olejne, rzeźby, meble... dziś zdobiące pałac?**

– Z nielicznymi wyjątkami niewiele mają wspólnego z historycznym Żaganiem. W czasie, kiedy kierowałem odbudową i potem pałacem jako instytucją kultury, starałem się kupować przedmioty, które albo pochodziły z dawnych czasów, albo doskonale naśladowały dawne czasy, albo, co się zdarzało, miały tylko wypełnić pomieszczenia.

– **Co więc stało się z dziełami sztuki przewiezionymi z Mitawy, powstałymi w Żaganiu i kupionymi w czasie, kiedy pałac był siedzibą Bironów i Talleyrandów?**

– Z formalnego punktu widzenia zaginęły.

– **Jak zaginęły? Kiedy?**

– Niedawno. To znaczy prawdopodobnie około 1945 roku.

– **Aha, jako mienie niemieckie Rosjanie je wywieźli do swego kraju?**

– Rosjanie pewnie niewiele mają wspólnego z tą sprawą. Sądzę, że kiedy w połowie lutego 1945 roku czerwonoarmiści weszli do Żagania, w pałacu już nie było obrazów, rękopisów, sreber...

– **Francuzi?**

– Chyba również nie oni, chociaż nie dałbym sobie obciąć ręki.

– **A więc Niemcy?**

– Też nie ma dowodów na to, że oni ograbili pałac. Są za to dokumenty poświadczające, że starali się zabezpieczyć kolekcję przed zniszczeniem ze strony lotnictwa alianckiego.

– **Tylko się starali?**

– Znajdujący się na terenie Niemiec majątek był lennem francuskim. Jego właściciel Paul Louis Bosson II Talleyrand-Périgod chciał go

sprzedać Trzeciej Rzeszy. Za kompleks pałacowo-parkowy z wyposażeniem i budynkami towarzyszącymi, za osiem tysięcy hektarów obszarów leśnych i dziesięć tysięcy hektarów użytków rolnych domagał się 29 milionów 400 tysięcy marek w przeliczonych na franki francuskie. Takich pieniędzy nie miał rząd Śląska, dlatego nadprezydent prowincji Karl Handke za pośrednictwem Martina Bormanna, sekretarza Adolfa Hitlera zwrócił się o pomoc finansową do Banku Rzeszy. Propozycja ta nie spodobała się nazistowskim władcom Niemiec. 29 czerwca 1944 roku na naradzie w Berlinie padł wniosek dotyczący likwidacji lenna tronowego w Żaganiu i włączeniu go do majątku Trzeciej Rzeszy. Do czasu wydania prawomocnego orzeczenia pieczę nad dobrami żagańskimi sprawował urząd pełnomocnika rządu do spraw majątku niepaństwowego. Niestety, Sąd Krajowy Śląska nie zdążył wydać decyzji, co miało wpływ na losy pałacu w latach osiemdziesiątych XX wieku. Pewnie spyta pan o to, więc od razu wyjaśniam, że dopiero wtedy Polska stała się prawnym właścicielem lenna, kupując je od Francuzów.

– Ciągłe nie wiem, co się stało ze skarbami z żagańskiego pałacu?

– Tego chyba nikt nie wie. Cytowany profesor Majchrzak dotarł do raportu szefa śląskiego gestapo z końca 1944 roku. Jest w nim taka informacja: „Dzieła sztuki, zabezpieczone w skrzyniach, przeniesiono do piwnic pałacu; część obrazów oraz kosztownych mebli i dywanów przetransportowano do Kliczkowa koło Bolesławca i zdeponowano w podziemiach pałacu hrabiego von Solisa”. To ostatni oficjalny raport dotyczący majątku żagańskiego.

– Tyle wynika z dokumentu oficjalnego. A co na ten temat jest w listach i pismach prywatnych?

– Na niespełna rok przed spotkaniem w Berlinie zlecenie na wycenę kolekcji żagańskiej dostał rzeczoznawca dzieł sztuki doktor Plambeck. Oszacował ją na cztery miliony marek. W obawie przed zniszczeniem pałacu, co się z tym wiąże, kolekcji, jesienią 1944 roku najcenniejsze dzieła zapakowano do skrzyń i zniesiono do piwnic. Do przechowywania małych obrazów, bez potrzeby wyjmowania ich z ram, odpowiedzialny za majątek radca Knigge kazał zrobić specjalne stelaże. Niestety, nie znam imienia Kniggego, w urzędowych

dokumentach Niemcy bowiem podawali jedynie funkcję lub tytuł i nazwisko. Duże płótna zostały zakonserwowane i złożone w ochronnych pokrowcach. Książki zamierzano przewieźć do pałacyku myśliwskiego w Miodnicy koło Żagania albo do pałacu w Borowinie pod Szprotawą. Knigge miał nadzieję, że chorzy i ranni ze szpitala polowego znajdującego się na parterze będą ewakuowani, wtedy także znieść meble z piętra na niższą kondygnację, aby w razie ataku lotniczego nie uległy zniszczeniu. Może udałoby się przeprowadzić tę akcję, gdyby nie kateryczne stanowisko śląskiego konserwatora zabytków profesora Günthera Grundmanna.

– **To znaczy...?**

– Profesor Grundmann był przeciwny ewakuacji skrzyń z dziełami sztuki do Kliczkowa i Borowiny. Uważał, że najlepszym miejscem ich przechowywania są solidne żagańskie piwnice. Gdyby radca Knigge go posłuchał, pewnie kolekcja przetrwałaby w Żaganiu do dziś.

– **Jednak Knigge kazał je wywieźć do Kliczkowa?**

– Stało się to w nocy z 15 na 16 października 1944 roku. Wtedy załadowano 33 skrzynie na dwa samochody i drogą boczną w asyście dwu uzbrojonych motocyklistów przetransportowano do Kliczkowa. Co znajdowało się w skrzyniach, nie wiadomo, ale z opisu transportu wynika, że nie były to obrazy. Profesor Majchrzak twierdzi, że również nie było w nich najcenniejszych manuskryptów Goethego, Schillera, Dumasa – ojca, Stendhala, Beethovena, Liszta, Humboldta, Fredry. W skrzyniach mogły być listy z potężnej kolekcji rękopisów Talleyrandów, którą opiekowała się księżna Dorota. I tu napotykamy na pierwszą tajemnicę.

– **Jaką tajemnicę?**

– Niedawno pojawiła się wręcz sensacyjna informacja: Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych jest w posiadaniu mikrofilmu żagańskiej kolekcji manuskryptów. Miał go wykonać jeszcze w czasie wojny doktor Huth na polecenie Pruskiej Biblioteki Państwowej w Berlinie. Niestety, w wykazie pracowników tej szacownej instytucji nie ma osoby o takim nazwisku.

– A co się stało ze skrzyniami przewiezionymi do zamku w Kliczkowie?

– Wojna oszczędziła kliczkowską budowlę. Najpierw zajęli ją Rosjanie i, co było do wywiezienia, wywieźli w niewiadomym kierunku. Potem w zamku miało swoją siedzibę nadleśnictwo. Dziś jest tam hotel.

– Manuskryptów nigdy nie odnaleziono?

– Na razie nigdzie się nie pojawiły. Być może kiedyś dowiemy się, kto je wywiózł z Kliczkowa i gdzie ukrył. Środkowe Nadodrze ciągle kryje wiele tajemnic. Niedawno dowiedziałem się, że obraz Łukasza Cranacha Starszego na desce lipowej, znany jako *Madonna Głogowska*, który najpierw był w kolegiacie w Głogowie, a potem ukryty w Łądku Zdroju, uznany za zaginiony, odnalazł się w Muzeum Puszkina w Moskwie. Mam więc nadzieję, że kiedyś skarby z galerii żagańskiej wrócą na swoje historyczne miejsce.

– Powiedział Pan, że w skrzyniach wywiezionych do Kliczkowa nie było obrazów.

– Do takiego wniosku doszedłem po przeczytaniu raportów i meldunków w sprawie majątku żagańskiego. Mogę się mylić.

– Gdzie więc ukryto obrazy i płótna wyjęte z ram? Co się stało z rzeźbami, skoro nie ukryto ich w Kliczkowie?

– W piwnicach żagańskiego pałacu zatrzymano 47 skrzyń i, jak podaje profesor Majchrzak, powołując się na raport radcy Kniggego, „innych opakowań”. Jakieś, dziś trudne do określenia, przedmioty pozostały w pomieszczeniach na piętrze skrzydeł kurlandzkiego i wallensteinowskiego. Kto i kiedy wywiózł skrzynie z pałacu, może kiedyś się dowiemy, bo wierzę, że są one zabezpieczone.

– A może nigdy nie zostały wywiezione z miasta? Może zostały ukryte w jakimś sekretnym miejscu w Żaganiu?

– Profesor Majchrzak tak pisze: „Wieść gminna głosi, że pojazdy wojskowe sojuszników na ulicach Żagania wiosną 1945 roku nie były rzadkością. Że na pałacu przez dłuższy czas powiewała flaga francuska. Że kręcili się po pałacu różni ludzie z dyplomatycznymi i niedyplomatycznymi paszportami.”

– Na początku naszej rozmowy powiedział Pan, że w muzeach francuskich są „rzeczy z pałacową metryką”. Co miał Pan na myśli?

– A to, że po zakończeniu wojny w muzeach na terenie Francji pojawiły się prace z kolekcji żagańskiej, które doktor Plambeck wymienił w swojej inwentaryzacji sporządzonej jesienią 1944 roku. Znowu powołałam się na profesora Majchrzaka. Píše on, że w lutym 1945 roku pojawili się w Żaganiu „dwaj oficerowie: jeden w mundurze armii francuskiej, drugi amerykańskiej, legitymujący się specjalnymi przepustkami naczelnego dowództwa radzieckiego”. Profesor Majchrzak nie podaje źródła, píše, że chodzi o materiały francuskie, wedle których owi oficerowie zabrali „kilka skrzyń z papierami byłego archiwum pałacowego”. Jego zdaniem, znowu w oparciu o źródła francuskie, podający się za dyplomatę holenderskiego Hanno von Welczek, czyli pełnomocnik Talleyranda do sprawy sprzedaży lenna, po zakończeniu wojny pojawił się w Żaganiu.

– Mając tyle informacji nie starał się Pan trafić na ślad skarbu?

– Od 1975 roku, kiedy zostałem dyrektorem pałacu jako domu kultury i jednocześnie zajmowałem się jego odbudową, przeczytałem chyba wszystko, co napisano na temat tej budowli. Zapoznałem się z biografiami większości malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy, pianistów, aktorów, uczonych, polityków, którzy mieli związek z pałacem. Sam i razem z historykami sztuki zastanawiałem się nad losem tutejszych arcydzieł. Jak kamień w wodę... Ta zagadka prawdopodobnie już nigdy nie będzie rozwiązana.

– Urzędnicy polskiego ministerstwa kultury nie wszczęli poszukiwań?

– Do Żagania przyjeżdżali konserwatorzy zabytków, historycy sztuki, archiwiści, muzealnicy, germaniści, reportażyści. Na rozważaniach ich dociekania się kończyły. Co rusz pojawiali się szabrownicy z wykrywaczami metali, niektórzy legitymowali się upoważnieniami, wśród nich byli tacy, którzy mieli, jestem przekonany, że sfałszowane, upoważnienia generalnego konserwatora zabytków. Jeden starał się mnie przekonać, że skrzynie zostały ukryte w podziemnym korytarzu łączącym pałac z tzw. pałacykiem wdowim, gdzie dziś jest sąd.

– W czyich rękach pałac był zaraz po zajęciu Żagania przez Armię Czerwoną?

– Jak wszystkimi miastami tak i Żaganiem najpierw zarządzał radziecki komendant wojenny. Mimo iż potem władzę przejął polski burmistrz, wpływy radzieckich wojskowych były ogromne, a to dlatego, że w czasie wojny znajdowały się tu obozy jenieckie, w których przetrzymywano Rosjan. W pobliskiej Szprotawie i Starej Koperni Rosjanie mieli swoje bazy lotnicze, w Świątoszowie utworzyli coś w rodzaju miasteczka wojskowego. Stąd było niedaleko do Legnicy, gdzie mieściła się siedziba dowództwa Północnej Grupy Wojsk. Nie powinno więc dziwić, że i pałac był w ich rękach. Z okolicznych dworów i pałacyków zwozili do Żagania meble, zegary, obrazy, porcelanę, przedmioty gospodarstwa domowego. W pałacu urządzili magazyn białych fortepianów. Zanim obiekt przekazali polskim władzom, zgromadzone w nim przedmioty wywieźli. Pewnie wtedy również wywieźli i te meble, które pozostały po ostatnich właścicielach pałacu.

– Dokąd je wywieźli?

– A któż to wie! Gdyby polscy robotnicy ładowali je na samochody, a potem do wagonów, wiedzielibyśmy, gdzie dziś ich szukać. Załadunkiem i transportem zajmowały się radzieckie oddziały specjalne do spraw zdobyczy wojennych.

– Kiedy administracja polska przejęła pałac?

– Nie udało mi się ustalić dokładnej daty. Domyślam się, że było to rok po wojnie. Do lat sześćdziesiątych XX wieku w pałacu urzędowały władze powiatu żagańskiego. Gdy na biurko przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej zaczął spadać tynk z sufitu, zamiast remontować budowlę, administracja wyprowadziła się z pałacu. Opowiadał mi doktor Stanisław Kowalski, że jako wojewódzki konserwator zabytków nie znajdował sprzymierzeńców nawet wśród dziennikarzy krakowskich. Na łamach tamtejszego *Życia Literackiego* Bohdan Drozdowski apelował, aby to ponure junkierskie gmaszysko zmieść z powierzchni ziemi. Larum podnieśli historycy sztuki z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mimo to na złom trafiło jednak secesyjne kute ogrodzenie przedniego dziedzińca. Dopiero w 1963 roku przystąpiono do odbudowy budynku. Z początku robiono to

bez przekonania i serca. Na swoje usprawiedliwienie ówczesne władze miały to, że pałac stojący w Polsce był własnością Francuzów, mimo iż Aliancka Komisja Kontrolna w 1947 roku zlikwidowała państwo pruskie. Gdyby w 1944 roku Sąd Krajowy Śląska zdążył wydać decyzję w sprawie przejęcia lenna żagańskiego przez prowincję śląską, ta kwestia byłaby jasna. A tak kawałeczek Francji znajdował się na terytorium Polski. Jak już mówiłem, w latach osiemdziesiątych, płacąc węglem kamiennym, Polska odkupiła od Francji żagańskie lenno tronowe.

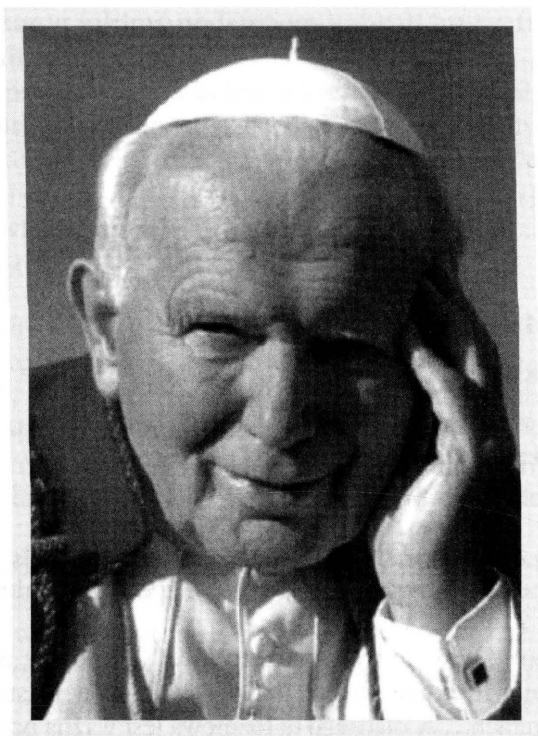
– Proszę mi wierzyć, że podziwiam Pana starania o odbudowę i ratowanie pamiątek przeszłości Żagania.

– Postępowałem zawsze wedle dewizy: „pracuj tak, jakbyś miał umrzeć za sto lat; żyj tak, jakbyś miał umrzeć jutro”.

– Dziękuję za kształcącą rozmowę.

Pałacowe daty

- 1628 – książę Friedlandu Albrecht Eusebius Václav z Valdštejna, znany jako generał Wallenstein na miejscu wcześniejszego zamku rozpoczął wznoszenie rezydencji według projektu włoskiego architekta Vincezno Boccacio
- 1660 – nowy właściciel Żagania, minister na dworze austriackiego cesarza książę Václav Eusebius von Lobkovic polecił przebudowę pałacu zgodnie z koncepcją włoskiego architekta Antonio Della Porty
- 1786 – posiadłość kupił książę Kurlandii i Semigalii Piotr Biron i rozpoczął adaptację pomieszczeń do wymagań swojej rodziny
- 1795 – książę Biron przeprowadził się z Mitawy do Żagania, przywożąc ze sobą kolekcję obrazów, m.in. Brueghela, Canaletta. Caravaggia, Rembrandta
- 1845 – księżna Dorota de Telleyrand-Périgord nakazała remont pałacu, w tym zmianę dekoracji wnętrz
- 1847 – wzniesiono oranżerię
- 1898 – 1906 – wymieniono fundamenty, zmieniono pokrycie dachu z dachówki ceramicznej na blachę ocynkowaną, odremontowano maszkarony zdobiące elewację
- 1935 – Trzecia Rzesza uznała księcia Bosona II de Telleyranda za wroga państwa niemieckiego i skonfiskowała pałac, urządzaając w nim muzeum wnętrz
- 1944 – w budynku władze niemieckie założyły szpital wojskowy
- 1945 – w części pałacu Rosjanie urządzili magazyn przejściowy dóbr kultury wywożonych do Związku Radzieckiego
- 1946 – do pomieszczeń pałacowych przeniesiono urzędy powiatowe
- 1965 – 1983 – przeprowadzono remont wszystkich pomieszczeń.
- 1983 – utworzono Żagański Pałac Kultury, ćwierć wieku później zmieniony na Pałac Książęcy



*Papież Jan Paweł II – fot. Arturo Mari –
zdjęcie z „Rzeczypospolitej”*

Jan Paweł II (Karol Wojtyła)

Urodził się 18 maja 1929 w Wadowicach, zmarł 2 kwietnia 2005 r. w Watykanie. W 1938 r. rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ukończył teologię w Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Krakowie. Świecenia kapłańskie przyjął w 1946 r. Pracę doktorską obronił w 1948, rozprawę habilitacyjną przedstawił w 1953 r., a tytuł profesora otrzymał pięć lat później. Był kardynałem, metropolitą krakowskim. 16 października 1978 r. został wybrany na 262. następcę świętego Piotra. Jest autorem m.in. *Tryptyku rzymskiego*, *Pamięci i tożsamości*.

NOWY ADRES BISKUPA

Rozmowa z Janem Pawłem II,
262. papieżem

– Dziękuję za to, że Ojciec Święty zgodził się na tę rozmowę. Ważną przede wszystkim z punktu widzenia mieszkańców Gorzowa i Zielonej Góry.

– W Watykanie pewnie byłoby to trudne. Nie mówię; niemożliwe, tylko: trudne. Może udałoby się podczas wakacji w Castel Gandolfo lub w Dolomitach... A dlaczego ta rozmowa jest ważna przede wszystkim z punktu widzenia mieszkańców Gorzowa i Zielonej Góry?

– W 1992 roku Wasza Świątobliwość ogłosił bullę, na mocy której stolica biskupia została przeniesiona z Gorzowa do Zielonej Góry.

– I pewnie gorzowianie z tej decyzji Stolicy Apostolskiej są niezadowoleni?

– Tak, Ojciec Święty.

– Gdybym był gorzowianinem, też byłbym niezadowolony. Nikt nie lubi, kiedy zabierają mu to, do czego przywykł. Ja też długo nie umiałem się przyzwyczaić do sprawowania obowiązku namiestnika Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

– Gorzowianie uważają zielonogórczan za swoich największych rywali, mimo iż żyją w tym samym regionie administracyjnym. Nie wszyscy oczywiście, ale wielu sądzi, że to

zielonogórzanie jakimś podstępem zabrali im siedzibę biskupa diecezjalnego.

– Proszę im powiedzieć, że zielonogórzanie nie są winni przeniesienia stolicy biskupiej z Gorzowa do Zielonej Góry. Nigdy w tej sprawie nie występowali z prośbą ani nie zabiegali o to w innej formie. Gorzów jako stolica administracji apostolskiej i diecezjalnej przez prawie pół wieku zapisał się złotymi literami w dziejach Kościoła powszechnego.

– 15 sierpnia 1945 roku ksiądz kardynał August Hlond, mając aprobatę Watykanu, ustanowił administrację apostolską kamieńską, lubuską i prałatury pilskiej, obejmującą tereny należące ostatnio do archidiecezji wrocławskiej, diecezji berlińskiej i prałatury pilskiej. Dlaczego siedzibą administratora stał się liczący wtedy niespełna 20 tysięcy mieszkańców Gorzów?

– Ksiądz kardynał Hlond miał ogromne możliwości wyboru siedziby rządcy Kościoła w północno-zachodniej Polsce, gdy zgasała długa noc drugiej wojny światowej. Do tej rangi mogły pretendować historyczne stolice biskupie w Kamieniu Pomorskim, Wolinie i Kołobrzegu. Pod uwagę mógł wziąć największy ośrodek miejski na tych ziemiach, jakim był Szczecin. Gorzów wybrał dlatego, że miasto leżało najbliżej centrum kraju. Zapadły już decyzje terytorialne w Poczdamie, ale jeszcze nie było oczywiste, że Szczecin na pewno będzie w granicach Polski.

– A czas nagiął, bo z różnych stron dawnej Rzeczypospolitej przyjeżdżali na te ziemie Polacy.

– Katedrą gorzowską został zabytkowy kościół Mariacki w centrum Gorzowa, prokatedrą poewangelicka świątynia pod wezwaniem Matki Bożej Królowej Korony Polskiej w Szczecinie. Pierwszy administrator ksiądz doktor Edmund Nowicki, mający pełnię władzy biskupiej, odbył ingres do katedry w Gorzowie i do prokatedry w Szczecinie. Ustanowienie administracji apostolskiej w Gorzowie było pilne ze względu na przemieszczenie milionów katolików z wschodniej Polski na ziemie zachodnie i północne. Zadanie to, zapoczątkowane przez księdza Nowickiego, z Bożą pomocą wykonali jego następcy dzięki zaangażowaniu tysięcy kapłanów i milionów

wiernych podążających drogą wskazaną przez Jezusa. Nikt nie jest w stanie umniejszyć zasług gorzowian w umacnianiu Kościoła Chrystusowego na tych ziemiach.

– Władza apostolska pod nazwą ordynariatu gorzowskiego przetrwała do 1972 roku, kiedy to Paweł VI bullą *Episcorum Poloniae coetus* ustanowił nowy porządek administracyjny w Kościele zachodniej i północnej Polski. Stało się to siedem lat po liście biskupów polskich do niemieckich?

– Myśli pan o liście z 18 listopada 1965 roku?

– Tak, Ojcie Świąty. Widniał pod nim podpis Waszej Świątobliwości, wtedy jako członka Konferencji Episkopatu Polski i biskupa krakowskiego.

– List, o którym pan wspomina podpisało 36 biskupów, wśród nich był ordynariusz gorzowski Wilhelm Pluta, duchowny niezwykle zasłużony dla Kościoła i wiary katolickiej na ziemiach, jak je wtedy nazywano, odzyskanych. Ów list podpisał także prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński. Widnieje pod nim także mój podpis, o czym pan wspominał.

– W jakich okolicznościach powstał ten list? Dlaczego akurat w 1965 roku, a nie wcześniej czy później?

– Wiąże się to Soborem Watykańskim II, zakończonym w grudniu 1965 roku. Podczas soborowych spotkań biskupów polskich i niemieckich dochodziło do dyskusji na temat skutków drugiej wojny światowej. Niemcy obarczali Polaków odpowiedzialnością za wysiedlenia swoich rodaków z ziem, w polskiej terminologii, określanych jako odzyskane. Po stronie polskiej jeszcze była niechęć do Niemców, spowodowana zbrodniami nazistowskimi. Ojcowie soborowi zastanawiali się, co zrobić, żeby dwadzieścia lat po wojnie człowiek był człowiekiem bratem, a nie wilkiem. Jak dotrzeć z ewangeliczną prawdą do ludzi? Wtedy po stronie biskupów polskich i niemieckich pojawił się pomysł, aby wspólnie wystąpić o beatyfikację zamordowanego w Auschwitz ojca Maksymiliana Kolbego. Nawiasem mówiąc, więzionego jesienią 1939 roku w filii obozu jenieckiego stalag III B w Amtitz, dziś Gębice koło Gubina. Dodatkowym impulsem było memorandum z Tybingi niemieckiego Kościoła

ewangelickiego, nawołujące do uznania granic w Europie. Jeszcze władze Republiki Federalnej Niemiec, w przeciwieństwie do Niemiec Wschodnich, nie uznawały granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

– Kto był autorem listu?

– Wersję roboczą przygotował ordynariusz wrocławski biskup Bolesław Kominek. W polskim Kościele nikt tak dobrze jak on nie rozumiał spraw polsko-niemieckich. Urodził się bowiem koło Rybnika, wychował na pograniczu dwu kultur i języków, po zakończeniu wojny był administratorem apostolskim w Opolu. Stawał w obronie wysiedlanej i krzywdzonej ludności śląskiej Opolszczyzny. Jako biskup nawiązał kontakty ze swoimi szkolnymi kolegami, którzy byli duchownymi katolickimi i protestanckimi w obu państwach niemieckich. Pomagał organizować pielgrzymki młodzieży niemieckiej do hitlerowskich miejsc kaźni.

– Co znalazło się w tym liście, że tak bardzo rozżłościło władze Polski Ludowej?

– W 1966 roku, tysiąc lat po tym, jak Mieszko I przyjął chrześcijaństwo, miały się odbyć obchody millenium chrztu Polski na Jasnej Górze. Listy z zaproszeniami na uroczystość polski episkopat wysłał do 36 krajów. Do zaproszenia skierowanego do biskupów niemieckich był dołączony list, w którym jego autorzy przypomnieli o wzajemnych kontaktach w przeszłości i zbrodniach dokonanych na narodzie polskim podczas ostatniej wojny. Znalazła się też konstatacja dotycząca wysiedlenia Niemców z podkreśleniem, że był to wynik wojny rozpętanej właśnie przez nazistowskie władze Trzeciej Rzeszy. Ostatnie zdania tak brzmiały: „Próbujmy zapomnieć. Żadnej polemiki, żadnej dalszej zimnej wojny, ale początek dialogu. W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących na ławach kończącego się soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie. A jeśli Wy po bratersku wyciągnięte ręce ujmiecie, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze millenium w sposób najbardziej chrześcijański.”

– Czy autorzy listu spodziewali się, że za wybaczenie i prośbę o wybaczenie zostaną oskarżeni o zdradę ojczyzny?

– Teraz myślę, że nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę z tego, jak władze PRL zareagują na nasze orędzie. Spodziewaliśmy się odpowiedzi biskupów niemieckich, która nie pozostawi cienia wątpliwości, jakie były nasze intencje.

– **Czyli jakiej?**

– Mieliśmy nadzieję, że w podpisanej przez 41 biskupów z zachodnich i wschodnich Niemiec odpowiedzi będzie deklaracja w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Niestety, nie było. „Musicie być przekonani, że żaden biskup niemiecki ani nie pragnie, ani nie będzie popierał niczego innego, jak tylko by braterski stosunek między obu narodami nacechowany był szczerością oraz uczciwością”, napisali. Zaznaczyli także: „Wiemy, że musimy pokonać skutki wojny”.

– **Cztery lata później cały świat obiegło zdjęcie z kanclerzem Niemiec Zachodnich Willym Brandtem klęczącym pod pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie.**

– Przypomniat pan niemieckiego kanclerza klęczącego pod pomnikiem w Warszawie, to dobrze. Tego dnia miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie: kanclerz Willy Brandt i premier Józef Cyrankiewicz podpisali układ o granicy zachodniej PRL. Dopiero za dwadzieścia lat już zjednoczone Niemcy potwierdzą traktat graniczny, co oznacza zgodę na taki ład terytorialny między państwami środkowej Europy, jaki mamy dziś. Jestem przekonany, że orędzie biskupów było przełomowe w stosunkach między narodem polskim i niemieckim. Hierarchowie uczynili bardzo ważny krok i wskazali drogę, którą powinny iść narody w budowie jedności kontynentu europejskiego. Nie mam również wątpliwości, że jeśli chodzi o Kościół katolicki, wydarzeniem przełomowym w tym względzie był Sobór Watykański II, jak zaznaczyłem w *Pamięci i tożsamości*. Kościół katolicki określił swoje stanowisko wobec wszystkich Kościołów i wspólnot kościelnych żyjących poza jednością katolicką i zaangażował się z całym oddaniem w działalność ekumeniczną. Wydarzenie to jest ważne dla przyszłej jedności wszystkich chrześcijan.

– **Wtedy Polska nawiązała stosunki dyplomatyczne z Niemcami. W 1972 roku papież Paweł VI ustanowił nowy porządek administracyjny w Kościele zachodniej i północnej**

Polski. Czy miał na to wpływ list biskupów polskich do niemieckich?

– Na to pytanie odpowiem fragmentem owego listu. „Polska granica na Odrze i Nysie jest, jak to dobrze rozumiemy, dla Niemców nad wyraz gorzkim owocem ostatniej wojny, masowego zniszczenia, podobnie jak jest nim cierpienie milionów uchodźców i przesiedleńców niemieckich. (Stało się to na międzyaliancki rozkaz zwycięskich mocarstw, wydany w Poczdamie 1945 r.). Większa część ludności opuściła te tereny ze strachu przed rosyjskim frontem i uciekła na Zachód. Dla naszej Ojczyzny, która wyszła z tego masowego mordowania nie jako zwycięskie, lecz krańcowo wyczerpane państwo, jest to sprawa egzystencji (nie zaś kwestia większego »obszaru życiowego«). Gorzej, chciano, by 30-milionowy naród wcisnąć do korytarza jakiegoś Generalnego Gubernatorstwa z lat 1939-1945, bez terenów zachodnich, ale i bez terenów wschodnich, z których od roku 1945 miliony polskich ludzi musiały odpłynąć na »poczdamskie tereny zachodnie«. Dokąd zresztą mieli wtedy pójść, skoro tak zwane Generalne Gubernatorstwo razem ze stolicą Warszawą leżało w gruzach, w ruinach. Fale zniszczenia ostatniej wojny przeszły przez kraj nie tylko jeden raz, jak w Niemczech, lecz od 1914 r. wiele razy, to w jedną, to w drugą stronę, jak apokaliptyczni rycerze, pozostawiając za każdym razem ruiny, gruzy, nędzę, choroby, zarazy, łzy, śmierć oraz rosnące kompleksy odwetu i nienawiści.” Tak więc swoim orędziem biskupi dali sygnał Stolicy Apostolskiej do zaakceptowania tego, co się stało w wyniku zmian terytorialnych po drugiej wojnie światowej. Czynnikiem sprzyjającym powołaniu tu polskich diecezji było nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Polską Ludową a Niemcami Federalnymi.

– Po trzydziestu siedmiu latach przestało istnieć w jakiś sposób tymczasowe zarządzanie instytucjami Kościoła na „poczdamskich terenach zachodnich”.

– Stało się to 28 czerwca 1972 roku, kiedy papież Paweł VI bullą *Episcoporum Poloniae coetus* ustanowił nową organizację kościelną w zachodniej i północnej Polsce. Z dotychczasowej administracji apostolskiej gorzowskiej powstały diecezje: szczecińsko-kamieńska ze stolicą w Szczecinie, koszalińsko-kołobrzeska z siedzibą biskupa w Koszalinie i gorzowska. Rządcą diecezji gorzowskiej, włączonej

do metropolii wrocławskiej, został dotychczasowy ordynariusz ks. bp Wilhelm Pluta. W miejsce administracji opolskiej powstała diecezja opolska i warmińska w miejsce administracji warmińskiej. Ponadto diecezja gdańska została wyłączona z podległości pod Stolicę Apostolską i włączona do metropolii gnieźnieńskiej.

– Czy wtedy można było powrócić do historycznej nazwy diecezji – lubuskiej?

– Diecezja lubuska powstała za panowania Bolesława Krzywoustego. Dokładna data jej utworzenia nie jest znana, przyjmuje się, że było to między 1124 a 1133 rokiem. Istniała do 1598 roku, obejmując terytorium po obu stronach Odry. Najpierw siedzibą biskupa był Lubusz po zachodniej stronie rzeki, potem Górzycza po wschodniej stronie i podberliński Przybórz po niemiecku nazywany Fürstenwalde. Zachodnia część historycznej diecezji lubuskiej znajduje się w Niemczech. Później przez prawie czterysta lat parafie katolickie po wschodniej stronie Odry podlegały pod diecezję berlińską. Te dwa ostatnie fakty stały na przeszkodzie powrotu do historycznej nazwy.

– Największa reorganizacja Kościoła katolickiego w Polsce nastąpiła w 1992 roku. 25 marca tamtego roku papież ogłosił bullę *Totus tuus Poloniae populus*, na mocy której powstało trzynaście archidiecezji-metropolii i dwadzieścia sześć diecezji oraz archidiecezja łódzka podlegająca wprost pod Stolicę Apostolską, ordynariat polowy rytu rzymskiego oraz metropolia i diecezja greckokatolicka. Tamtego dnia diecezja gorzowska zmieniła nazwę na zielonogórsko-gorzowską, jej stolica została przeniesiona do Zielonej Góry.

– Z taką propozycją Konferencja Episkopatu Polski zwróciła się do Stolicy Apostolskiej. Jak wyjaśniłem w liście skierowanym do Kościoła w Polsce, było to zgodne z życzeniami Soboru Watykańskiego II dotyczącymi właściwego łączenia okręgów kościelnych. Odpowiedzialny za przeprowadzenie zmian administracyjnych nuncjusz apostolski w Warszawie tak je przygotował wspólnie z biskupami, aby w każdej diecezji istota Kościoła stała się bardzo przejrzysta, a także by biskup mógł stosownie i skutecznie wypełniać wszystkie swoje obowiązki, jak tego coraz bardziej wymagają potrzeby religijne,

duchowe i moralne oraz zmiany społeczne i kulturalne, dokonujące się w dzisiejszych czasach.

– Z niewielkimi zmianami granice diecezji zielonogórsko-gorzowskiej obejmowały terytorium diecezji gorzowskiej. Zmieniła się siedziba biskupa diecezjalnego.

– Stało się to z tego samego powodu, z którego w 1945 roku, kiedy kardynał Hlond utworzył administrację apostolską kamieńską, lubuską i prałatury pilskiej, Gorzów wygrał ze Szczecinem. Do Gorzowa położonego niemal przy granicy z archidiecezją szczecińsko-kamieńską jest zbyt daleko z Łęknicy, Wschowy, Głogowa. Gdyby przeprowadzić linię w połowie drogi między Gorzowem i Zieloną Górą to się okaże, że po północnej stronie jest tylko dziewięć dekanatów, po południowej aż dziewiętnaście. Wyjazd proboszcza z najodleglejszych parafii do kurii w Gorzowie niekiedy oznaczał pozostawienie wiernych na cały dzień bez możliwości posługi. Zielona Góra też nie leży dokładnie w centrum diecezji, jest jednak tak położona, że z najdalszych parafii można dostać się do kurii w dwie godziny. Zwracali na to uwagę proboszczowie. To był jedyny powód, dla którego ówczesny ordynariusz gorzowski ksiądz biskup Michalik zaproponował przeniesienie siedziby ordynariusza do Zielonej Góry.

– Gorzowianie nie chcą się pogodzić ze zmianą nazwy diecezji i mają za złe zielonogórzanom, że stolicą biskupią jest teraz Zielona Góra.

– Dlaczego tak się stało, wyjaśniłem. Jestem przekonany, że odpowiadając na wniosek Konferencji Episkopatu Polski i mając dobro Kościoła, Stolica Apostolska podjęła słuszną decyzję. W Gorzowie pozostała katedra, matka kościołów w diecezji, i kapituła katedralna. W Zielonej Górze jest konkatedra, a nie druga katedra, równoważna z gorzowską. W Gorzowie pozostał także sąd diecezjalny. Podczas pielgrzymki do ojczyzny w czerwcu 1997 roku spotkałem się z wiernymi na gorzowskich błoniach. Jakże jeszcze mogą przekonać gorzowian, że są bliscy memu sercu?

– Na Środkowym Nadodrzu pozostały ślady obecności Waszej Świątobliwości nie tylko jako papieża, lecz i wcześniejsze, jeszcze jako biskupa i metropolity krakowskiego.

– Pod koniec lipca 1960 roku wspólnie z moimi studentami płynąłem kajakiem po Obrze oraz jeziorach zbąskich i pszczewskich. Piątego listopada 1966 roku brałem udział w uroczystościach millenijnych w Zielonej Górze i dzień później w Gorzowie. W 1972 roku uczestniczyłem w mszy świętej w katedrze gorzowskiej, podczas której ksiądz Paweł Socha został wyświęcony na biskupa. Nie potrafię zliczyć, ile razy wziąłem udział w różnych uroczystościach na Ziemi Lubuskiej. Ta ziemia jest mi tak samo droga i bliska jak ziemia krakowska, co starałem się wyrazić podczas owego spotkania na gorzowskich błoniach w 1997 roku. Niedaleko Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć w 1003 roku Benedykt z Pereum, Jan, Izak, Mateusz i Krystyn, pierwsi święci polscy, patroni diecezji i ziem piastowskich, którzy położyli kamień węgielny pod budowę mocnej wiary w Zbawiciela w narodzie polskim. Znajdujący się w bazylice w Rokitnie Cudowny Obraz patronki diecezji Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej zaświadcza o tym, że pamięć Maryi jest szczególnym źródłem poznania Chrystusa.

- **Dziękuję Waszej Świątobliwości za rozmowę.**
- Bogu niech będą dzięki.

Diecezjalne daty

- 15 sierpnia 1945 – ustanowienie przez ks. kardynała Augusta Hlonda administracji apostolskiej kamieńskiej, lubuskiej i prałatury pilskiej z siedzibą rządcy w Gorzowie Wielkopolskim
- 1 września 1945 – objęcie urzędowania w Gorzowie przez administratora apostolskiego, ks. Edmunda Nowickiego
- 28 października 1945 – ingres administratora ks. Nowickiego do kościoła pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Gorzowie
- 26 stycznia 1951 – po wydaleniu ks. Nowickiego przez władze państwowe z terenu administracji w Gorzowie, rada konsultorów wybrała ks. prałata Tadeusza Załuckowskiego na wikariusza kapitulnego, a prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński, mianował go wikariuszem generalnym w ordynariacie gorzowskim
- 15 marca 1952 – po nagłej śmierci ks. Załuckowskiego na wikariusza kapitulnego rada konsultorów wybrała ks. prałata Zygmunta Szelągka, który otrzymał od prymasa Polski, ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego uprawnienia do samodzielnego zarządzania ordynariatem
- 21 września 1954 – w Poznaniu odbyły się święcenia biskupie ks. Teodora Bensch, który miał objąć ordynariat gorzowski; z powodu sprzeciwu władz państwowych nowy ordynariusz przybył do Gorzowa dopiero dwa lata później
- 15 grudnia 1956 – ks. bp Teodor Bensch odbył ingres do gorzowskiej katedry
- 7 stycznia 1958 – w Szczecinie zmarł ks. bp Bensch; przez osiem miesięcy obowiązki administratora ordynariatu pełnił ks. Józef Michalski
- 4 sierpnia 1958 – papież Pius XII mianował nowego ordynariusza gorzowskiego ks. Wilhelma Plutę
- 7 września 195 – ks. Pluta otrzymał sakrę biskupią w katedrze gorzowskiej
- 16 listopada 1958 – biskupem pomocniczym ordynariatu został ks. bp Jerzy Stroba
- 5 czerwca 1960 – drugim biskupem pomocniczym ordynariatu został ks. bp Ignacy Jeż

- 25 maja 1967 – ordynariat gorzowski został podniesiony do rangi administracji apostolskiej zależnej bezpośrednio od Stolicy Apostolskiej
- 28 czerwca 1972 – papież Paweł VI bullą *Episcoporum Poloniae coetus* ustanowił nową organizację kościelną w zachodniej i północnej Polsce; z dotychczasowej administracji apostolskiej gorzowskiej powstały diecezje: szczecińsko-kamieńska, koszalińsko-kołobrzeska i gorzowska; ordynariuszem diecezji gorzowskiej, włączonej do metropolii wrocławskiej, został ks. bp Pluta.
- 26 grudnia 1973 – ks. Paweł Socha przyjął sakrę biskupią i został biskupem pomocniczym diecezji gorzowskiej
- 22 stycznia 1986 – w wypadku samochodowym w Przetoczniczy na drodze z Sycowic do Skąpego zginął ks. bp Pluta; przez dziesięć miesięcy administracją diecezjalną kierował ks. bp Socha
- 4 października 1986 – papież Jan Paweł II powołał ks. Józefa Michalika na urząd ordynariusza gorzowskiego
- 16 października 1986 – ks. Michalik otrzymał sakrę biskupią z rąk papieża w bazylice św. Piotra w Rzymie
- 30 listopada 1986 – ks. bp Michalik odbył ingres do katedry gorzowskiej
- 18 czerwca 1989 – koronacja Cudownego Obrazu Matki Bożej Cierpliwie Słuchającej w Rokitnie
- 6 stycznia 1990 – ks. Edward Dajczak otrzymał sakrę biskupią z rąk Jana Pawła II i został biskupem pomocniczym diecezji gorzowskiej
- 25 marca 1992 – papież Jan Paweł II wydał bullę *Totus tuus Poloniae populus*, w której jest decyzja o przemianowaniu diecezji gorzowskiej na zielonogórsko-gorzowską i przeniesieniu stolicy biskupiej do Zielonej Góry
- 17 kwietnia 1993 – ks. bp Michalik został metropolitą przemyskim; przez trzy miesiące administratorem diecezji był. bp Socha
- 19 lipca 1993 – ks. bp Adam Dyczkowski został ordynariuszem diecezji zielonogórsko-gorzowskiej
- 5 września 1993 – ingres ks. bp. Dyczkowskiego do katedry gorzowskiej
- 12 września 1993 – ingres ks. bp. Dyczkowskiego do konkatedry zielonogórskiej

- 12-14 maja 1994 – I Diecezjalny Kongres Rodziny w Głogowie, Gorzowie i Zielonej Górze
- 2 czerwca 1997 – wizyta papieża Jana Pawła II w Gorzowie
- 3 maja 2002 – kościół w sanktuarium Maryjnym w Rokicie został podniesiony do rangi bazyliki mniejszej
- 29 grudnia 2007 – papież Benedykt XVI przyjął rezygnację ks. bp. Dyczkowskiego z urzędu ordynariusza i powołał na to miejsce ks. bp. Stefana Regmunta
- 19 stycznia 2008 – ingres ks. bp. Regmunta do katedry gorzowskiej
- 26 stycznia 2008 – ingres ks. bp. Regmunta do konkatedry zielonogórskiej

ŹRÓDŁA

Pod tekstami nie podawałem źródeł, z których czerpałem, aby praca nie wyglądała na naukową. Korzystałem z publikacji polskich i niekiedy zagranicznych. Niżej podaję tylko te najciekawsze, zakładając, że wśród Czytelników będą i tacy, którzy zechcą do nich zajrzeć.

Katarzyna Adamek, Marian R. Świątek, *Żagań znany i nieznany*, Żagań 2002.

Joachim Benyskiewicz, *Babimojszczyzna 1919-1945*, Zielona Góra 1994.

Joachim Benyskiewicz, Hieronim Szczegóła, *Powstanie wielkopolskie nad środkową Odrą*, Zielona Góra 1998.

Krzysztof Blaszczyk, *Obra*. Ludzie. Fakty. Wydarzenia, Wolsztyn 2002.

Theodor Heinrich Otto Burghardt, *Pomologische Bibliothek: oder: Alphabetisches Verzeichnis der pomologischen Schriften*, Coburg 1806.

Dariusz Dolański, *Tadeusz Kuntze – malarz rodem z Zielonej Góry (1733-1793)*, Zielona Góra 1993.

Piotr Godlewski, *Sport zapasniczy w Polsce w latach 1890-1939*, Poznań 1994.

Marek Henzler, *Koszty pobytu Armii Radzieckiej w PRL*, „Polityka”, Pomocnik historyczny 2007, nr 1 - 4.

Fridrich Jahn, Eduard Lucas, Johann Georg Conrad Oberdieck, *Illustriertes Handbuch der Obstkunde*. Zweiter Band: Birnen, Stuttgart 1860; Vierter Band: Äpfel, Stuttgart 1875; Sechster Band: Steinobst, Stuttgart 1875.

- Krystyna Kamińska, *Zapomniany mistrz*, „Ziemia Gorzowska” 1987, nr 31 – 34.
- Johannes Kepler, *Sen, czyli wydane pośmiertnie dzieło poświęcone astronomii księżycowej*, Warszawa 2004.
- Adam Kołodziejski, *Wicina. Osada obronna sprzed 2500 lat w zbiorach Muzeum Archeologicznego w Zielonej Górze*, Zielona Góra 1993.
- Janusz Koniusz, *Taddeo Polacco z Zielonej Góry*, Zielona Góra 1960.
- Kostrzyn nad Odrą. Dzieje dawne i nowe*, red. Jerzy Marczewski, Poznań 1991.
- Mirosław Kuleba, *Ampelografia Zielonej Góry*, Zielona Góra 2005.
- Jan Kurowicki, *Pan Kepler raczy umierać*, Zielona Góra 1997.
- Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość*. Rozmowy na przełomie tysiącleci, Kraków 2005.
- Jerzy Piotr Majchrzak, *Kondotier i astronom*, „Kalendarz zielonogórski 1984”, Zielona Góra 1983.
- Jerzy Piotr Majchrzak, ... *więcej niż życie* (Dorota Talleyrand-Périgord i jej czasy), Żagań 2004.
- Zbigniew Miler, *Pastor Felix Hobus (1866-1941)*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 1999, nr 6, tom 2.
- Przemysław Mnichowski, *Obóz koncentracyjny i więzienie w Sonnenburgu (Słońsku) 1933-1945*, Warszawa 1982.
- Eugeniusz Paukszta, *Czarownica z Zielonej Góry*, Warszawa 1957.
- Szczepan Aleksander Pieniążek, *Sadownictwo*, Warszawa 1988.
- Południowe Pogranicze*. Słownik historyczny, red. Joachim Benyskiwicz, Zielona Góra 1983.
- Pomologia*, red. A. Rejman i S. Zaliwski, Warszawa 1956.
- Maria Radziszewska, *Wspomnienie o Józefie Kostrzewskim w 40. Rocznice śmierci nestora polskiej archeologii*, „Pro Libris” 2009, nr 4.
- Stanisław Rospond, *Skorowidz ustalonych nazw miejscowości*, Wrocław 1948.
- Stanisław Rospond, *Słownik nazw geograficznych Polski zachodniej i północnej*, Wrocław 1951.
- Stanisław Rospond, *Słownik etymologiczny miast i gmin PRL*, Wrocław 1984.
- Edward Rymar, *Studia i materiały z dziejów Nowej Marchii i Gorzowa*. Szkice historyczne, Gorzów 1999.

- Kazimierz Rymut, *Nazwy miast Polski*, Wrocław 1980.
- Wiesław Sauter, *Krzysztof Żegocki. Pierwszy partyzant Rzeczypospolitej, 1618-1673*, Poznań 1981.
- Schematyzm diecezji gorzowskiej*, Gorzów 1989.
- Alfred Siatecki, *Klucz do bramy*, Zielona Góra 2009.
- Andrzej Toczewski, *Dzieje sonnenburskiej kaźni*, „Museion” 2009, nr 26.
- Andrzej Toczewski, *Historia Ziemi Lubuskiej*, Zielona Góra, 2008.
- Andrzej Toczewski, *Kostrzyn 1945*, Warszawa 1988.
- Andrzej Toczewski, *Zbrodnie hitlerowskie na Ziemi Lubuskiej w latach 1933-1945*, Zielona Góra 2010.
- Marcin Tujdowski, *Łużyckie nazwy miejscowe w zachodniej Polsce*, „Siedlisko” 2005, nr 2.
- Tadeusz Zimecki, *Niemaszchleba*, Warszawa 1964.
- Jerzy Zysnarski, *Encyklopedia Gorzowa*, Bydgoszcz 2008.
- Iwona Żuraszek-Ryś, *Nazwy miejscowe powiatu zielonogórskiego*, Zielona Góra 2009.
- Strony internetowe:
- www.angelus.pl (12 X 2009)
- www.bornesulinowo.pl (21 XII 2009)
- www.celarf.gov.pl (8 VIII 2009)
- www.culture.pl (8 IX 2009)
- www.de.wikipedia.org (21 XII 2009)
- www.dziennik.pl (21 VIII 2009)
- www.gazetalubuska.pl (31 I 2010)
- www.jasien.com.pl (2 II 2010)
- www.kepler-museum.de (18 VI 2009)
- www.kuria.zg.pl (17 IX 2009)
- www.muzeum-swidnica.org (14 II 2010)
- www.muzeum.zagan.pl (5 I 2010)
- www.pl.wikipedia.org (16 V 2009, 22 XII 2009, 28 II 2010, 8 III 2010)
- www.powiatwolsztyn.pl (15 II 2010)
- www.slonsk.pl (17 I 2010)
- www.smigiel.pl (15 III 2010)
- www.umzagan.pl (5 I 2010)
- www.wyborcza.pl (3 VI 2009, 8 X 2009)

ZAMIAST PODSUMOWANIA

- 24 marca 1000 – w grodzie Ilua (Ilwa, Iława) koło dzisiejszej Szprotawy Bolesław Chrobry powitał cesarza Niemiec Ottona III
- 10 listopada 1003 – koło Międzyrzecza ponieśli męczeńską śmierć Benedykt, Jan, Izaak, Mateusz i Krystyn, zwani Pięcioma Bracmi Międzyrzeckimi
- 24 sierpnia 1109 – zaczęła się obrona Głogowa przed najazdem cesarza niemieckiego Henryka V, który zażądał wydania dzieci jako zakładników
- 22 września 1234 – książę wielkopolski Władysław Odonic odstąpił Santok księciu piastowskiemu Henrykowi Brodatemu, a ten wznosił tu gród
- 9 kwietnia 1241 – bitwa pod Legnicą, podczas której śmierć poniósł książę Henryk Pobożny, nastąpił rozpad księstwa głogowskiego
- 20 kwietnia 1249 – książę Bolesław Rogatka oddał połowę Ziemi Lubuskiej Brandenburczykom w zamian za pomoc w walce ze swoim bratem Henrykiem
- 1254 – książęta wielkopolscy podarowali Brandenburgii północną część kasztelanii santockiej
- 1257 – lokowanie miasta Landisberch Nova, które dało początek Landsbergowi, po 1945 nazwanemu Gorzowem Wielkopolskim
- 19 stycznia 1279 – powstało księstwo żagańskie
- 1303 – pojawił się termin Nowa Marchia, oznaczający wschodnią część Ziemi Lubuskiej
- 28 lutego 1312 – pojawiła się pierwsza wzmianka o Zielonej Górze jako o mieście

- 1331 – Wincenty z Szamotuł w imieniu króla Władysława Łokietka zawarł z Niemcami pokój landsberski
- 1343 – Kazimierz Wielki przyłączył Ziemię Wschowską do Wielkopolski
- 25 lutego 1363 – król Kazimierz Wielki poślubił księżniczkę zagańską Jadwigę we Wschowie
- 1385 – frankfurczycy napadli na Górzycę i zniszczyli siedzibę biskupa lubuskiego
- 31 marca 1454 – w Strzelcach sejm krajowy zdecydował, że Drezdenko i okoliczne miejscowości przechodzą we władanie elektorów brandenburskich
- 17 maja 1462 – odbył się zjazd głogowski z udziałem króla Kazimierza Jagiellończyka i króla czeskiego Jerzego z Podiebradu
- 28 grudnia 1483 – ostatni piastowski władca Głogowa Jan II zrzekł się miasta na rzecz króla czeskiego Macieja Korwina
- 1526 – Śląsk i południowa część środkowego Nadodrza przeszły w ręce Habsburgów austriackich
- 1537 – margrabia Jan przeniósł stolicę Nowej Marchii do Kostrzyna i rozpoczął budowę twierdzy
- 1598 – sekularyzacja dóbr biskupstwa lubuskiego
- 1657 – pod Górzycą wojska Stefana Czarnieckiego przeprawiły się na drugi brzeg Odry w ramach wyprawy duńskiej
- 1742 – Prusy zajęły Śląsk
- 25 września 1758 – zaczęła się bitwa wojsk rosyjskich z pruskimi pod Sarbinowem koło Kostrzyna
- 12 sierpnia 1759 – pod Kunowicami wojska rosyjsko-austriackie rozgromiły armię pruską
- 29 maja 1946 – Rada Ministrów wydała rozporządzenie o utworzeniu Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie
- 15 sierpnia 1946 – Matka Boża Rokitniańska została patronką diecezji
- 26 czerwca 1950 – powstało województwo zielonogórskie (duże)
- 1 czerwca 1975 – podział kraju na 49 województw, powstały województwa gorzowskie i zielonogórskie
- 24 lipca 1998 – Sejm uchwalił ustawę o podziale kraju na 16 województw, powstało województwo lubuskie

28 września 2001 – pierwszy rok działalności zainaugurował Uniwersytet Zielonogórski, powstały z połączenia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Politechniki Zielonogórskiej

1 maja 2006 – Polska została członkiem Unii Europejskiej

PODZIĘKOWANIA

Bez pomocy zaprzyjaźnionych znawców dziejów i miłośników Środkowego Nadodrza mógłbym popełnić błędy. Za rady, wypowiedzi i wskazówki dziękuję: dr Ludmile Będzikowskiej z Płocka, Renacie Chilarskiej – dyrektorce Szkoły Podstawowej w Łysinach koło Wschowy, Grażynie Zwolińskiej – mojej koleżance z „Gazety Lubuskiej”, Leszkowi Kani – znawcy malarstwa w ogóle, a twórczości lubuskich autorów szczególnie, Mirosławowi Kulebie – zielonogórskiemu pisarzowi i winoogrodnikowi, Marianowi Pasińskiemu – szefowi zielonogórskich działkowców, Jerzemu Szewczykowi – podróżnikowi i odkrywcy zapomnianych zdarzeń nad środkową Odrą, dr. Mieczysławowi Wojeckiemu – krajoznawcy i regionaliście z Zielonej Góry.

Dziękuję historykom: Zygmuntowi Stabrowskiemu i dr. Andrzejowi Toczewskiemu z Zielonej Góry, Jerzemu Zysnarskiemu z Gorzowa Wielkopolskiego oraz Waldemarowi Waciarkowi z Wolsztyna. Dziękuję badaczom z Uniwersytetu Zielonogórskiego: prof. dr hab. Januszowi Gilowi z Instytutu Astronomii, prof. dr. hab. Piotrowi Godlewskiemu z Katedry Wychowania Fizycznego i prof. dr. hab. Czesławowi Osękowskiemu z Instytutu Historii.

Jestem wdzięczny zielonogórzaninowi dr. Andrzejowi Marcinkianowi za informacje dotyczące odkryć archeologicznych nad środkową Odrą i dolną Wartą. Za konsultacje dziękuję ks. dr. hab. Andrzejowi Dragule z Instytutu Filozoficzno-Teologicznego im. Edyty Stein w Zielonej Górze.

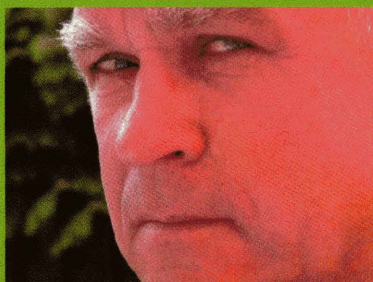
Specjalne podziękowanie składam Małgorzacie Radeckiej z wydawnictwa Muzeum Ziemi Lubuskiej, bez spostrzegawczości i pomocy

której nie wszystkie błędy byłbym w stanie wyłapać. Dziękuję Emili Ćwilińskiej za przygotowanie składu i złamanie książki, a Igorowi Myszkiewiczowi za projekt okładki.

Dziękuję tym wszystkim, z którymi wymieniałem uwagi na temat zdarzeń i postaci historycznych zaprezentowanych w książce.

SPIS TREŚCI

Wicina jak rzymskie Pompeje	7
Stolica na mokradłach	19
Pierwsze takie dzieło	35
Z partyzanta biskup	49
Mistrz pędzla rodem z Winogrodu	63
Podczaszanka wschowska z hymnu	75
Jabłka na szarlotkę	87
Wieś, która była republiką	101
Noblista w obozie koncentracyjnym	115
Mistrz podwójnego nelsona	129
Brzemie gniazd utraconych i odzyskanych	143
Armia sowiecka z tobą od dziecka	157
Zaginione skarby	171
Nowy adres biskupa	185
Źródła	199
Zamiast podsumowania	202
Podziękowania	205



Alfred Siatecki (ur. 1947 r.) – rodowity Lubuszanin. Autor powieści, zbiorów opowiadań, reportaży, słuchowisk i bibliografii pisarzy lubuskich.

Za powieść *Zmowa pułkowników* otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki (2000 r.). Jego utwory przełożono na

język białoruski, dolno- i górnołużycki, niemiecki oraz rumuński. Teksty drukuje m.in. w „Gazecie Lubuskiej”, miesięczniku „Puls”, kwartalnikach „Pro Libris” i „Pegaz Lubuski”, dolnołużyckim tygodniku „Nowy Casnik”.

www.alfred-siatecki.pl

Kolejny tom *Klucza do bramy*, literacka kontynuacja rozmów ze znaczącymi postaciami regionu lubuskiego, będzie interesującą lekturą każdego Lubuszanina. Zebrane opowiadania mają realistyczną formę, przez co czytelnik odnosi wrażenie, iż osobiście w nich uczestniczy. Książka świadczy o kunszcie literackim autora i ogromnej wiedzy historycznej. Losy poszczególnych osób stanowią zapomniane często karty dziejów regionu lubuskiego. Po lekturze większą wartość uzyskuje przeszłość, do której nabieramy szacunku. Podczas tej pasjonującej wędrówki w czasie poznajemy nie tylko dzieje i dokonania bohaterów, lecz również tło barwnie przedstawionych wydarzeń. Ukazanie ich w tej formie stanowi o wartości i atrakcyjności książki. Praca powinna znaleźć się nie tylko w zbiorach regionalnych, ale także w bibliotekach szkolnych.

*dr Andrzej Toczewski, historyk
Muzeum Ziemi Lubuskiej*

Patronat medialny:

MUSEION
STUDIA
ZIELONOGORSKIE